

Anna Kokot-Nowak

Tajemnica zamkowego pokoju 243

W 50-lecie poznańskiego Klubu Literackiego

Są klamki, które chwytały niedbale dłoń, nieomal nie zauważając ich faktury i kształtu, a one wprowadzają nas do innej rzeczywistości. Są drzwi, które otwieramy z beztroską swobodą, a one przecież prowadzą nas ku odmiennej formie egzystencji. Każdego dnia robimy tysiące kroków, ale co sprawia, że jeden z nich wyrzuca nas na orbitę nieznanych doświadczeń?

Nie wiadomo ile osób chwyciło za klamkę drzwi pokoju 243 od roku 1970. Gdyby wszystkie te dłonie próbować sobie wyobrazić, nakładając je na klamkę jedną na drugą – gigantycznie wysoka piramida szybko by się rozsypała. Salvador Dali aż podkreśliłby z rozkoszą wąsy, nastawiając nimi dokładniej godzinę dziesięć minut po dwudziestej drugiej. Swędziałyby go pędzel z fryzurą jak u punka jadącego na koncert w Jarocinie – tak bardzo spieszyłyby się do namalowania tych wszystkich porozrzucanych na ziemi dłoni. Kilka miniaturowych, należących pewnie do młodych kobiet, leżałoby udrapowanych we wdzięcznych pozach, a na malutkich paluszkach polyskiwałyby w świetle ciekawskie oczka pierścionków. Znalazłaby się i dłoń żylasta, z bolesnymi odciskami, należąca może do kogoś pracującego fizycznie. Ot, jeszcze może jakaś tycia piastka cudownego dziecka, co to nauczyciele talent w nim jakiś odkryli. Byłyby i dłonie – szpony, agresywne i chciwe sławy, wyciągające się po cudzy talent oraz osiągnięcia. I jeszcze dłonie nieśmiałe, skulone jakieś – i dłonie zaczerwienione, jakby w pasach całe, należące może do skromnych pensjonarek. Ciepłe dłonie o aksamitnej skórze i zimne jak serce ołowianego żołnierzyka. Salvador gładziłby każdą z damskich dłoni pieczęcią czupurnego pędzla, a ona z rozkoszy dotyku poruszałaby bardzo zmysłowo palcami. Męskie dłonie wrzucałby na płótno twardym gestem zawodowca, który wie, że tak trzeba, one właśnie tego potrzebują.

Czy klamka pokoju 243 wciąż jeszcze naładowana jest emocjami ludzi, którzy za nią chwytały? Może drży nadal strachem nieśmiałych albo czuje na sobie mocny uścisk osoby zdecydowanej i pewnej siebie? Czy chłodny kawałek metalu potrafi – niczym sądowy wariograf, odszyfrować prawdę między wersami kłamstwa? A może czyta z ludzkich dłoni jak Cyganka, co to prawdę powie, bruneta czarniawego wywróży i smutek wielki jak cyrak po zimowym krwi zamarznięciu... Może

i klamka chiromantką jest utajoną i zwieszając się jak małpka – z linii życia na linię głowy przeskoczy, przyszłość wypływając z ust jak ślinę całonocną? Przemów czule do klameczki, pogłaskaj łagodnie jak jagniątko, ale ona zmilczy prawdę i nieprawdę, harda jakaś się zrobiła. Za tymi drzwiami nie ma już bowiem tego pokoju, nie ma słów podniosłych i chmurnych, rymów białych i częstochowskich. Wszystko rozplynęło się w poznańskim powietrzu, a co zostało – te parę głosek, pojedyncze akapity, wersy urwane, kilka nietuzinkowych związków frazeologicznych – wsiąkło w mury, farbę tylko na ścianach wyrzuszając w kilku miejscach.

Wnętrze pokoju 243 jest ciasne, ale gdyby teraz przeprowadzić poetycko-prozatorską łapankę i upchnąć w nim wszystkich, którzy tam kiedyś bywali lub choćby otarli się o te drzwi? Ścisk, przerażliwe krzyki, ktoś mdleje, ktoś histeryzuje, bo klaustrofobia, tłum i znowu fobia. Popatrzcie uważnie, może jest duch Andrzeja Babińskiego, Ryszarda Miłczewskiego-Bruno, Edwarda Stachury, duszyczka Wincentego Różańskiego. Studentki – blade i przejęte, trzymające w swych dłoniach niegroźne tomy nauczające, ale tomiki poezji. Uczniowie liceów i techników, miętoszający niepewnie kartki A4 z tekstami pełnymi skreśleń oraz niebieskie ptaki, które fruwały tylko od karmnika do karmnika, a w każdym jakaś życziwa pani dosypywała im najprzedniejszych ziarenek do podziobania i wydziwiania. Talenty i ci, co przegrali życie, chłopcy baby, babochłopy i Irena Maruń. Niewinni czarodzieje i rozpoetyzowane kurtyzany, dentystki i przyszli układacze płytek w Irlandii, a może w Szkocji. Prawnicy „Szepczący po kątach” i prawnicy „Zamku” (Tadeusz Stirmer), którzy po godzinach gotowi byli wyznać, że są starym strychem. Były kobiety, bujające się wysoko na huśtawce schizofrenicznej emocji i samozwańcze artystki każdej możliwej sztuki (oprócz sztuki mięsa).



W pokoju 243 pojawiła się niejedna Matka Joanna od Demonów i piękna anielica – dziewica, z czarcim kopytkiem pod spódniczką.

I widzę ich tłumy ogromne... Każdego wieku i stanu, z różną amplitudą poziomu IQ. Wszystkich jednak łączyła maciupka nadzieja, że to, co piszą – warto jest choć westchnienia bolesnego następnych pokoleń. Ile w tym pokoju słów w sufit wleciało i tam z hukiem się rozbiło, ile słów się z duszy cierpiącej ulało by sfermentować potem gdzieś pod stołem. Nieliczne tylko dostały się za szczytu druku w arkuszach poetyckich, w „Protokole Towarzyskim”, a potem już „Kulturalnym”, w almanachach wreszcie. A pośród tego morza ludzkiego poetyzowania, wśród tych wirów rymowanych, prozy często kalekiej i umordowanej, pośród tego jarmarku słów, słówek i słoweczek – On. W młodości z pewnością terminował u Kaliope i nosił za nią zwoje natchnienia. Pan to jednak łaskawy i miłosierny. Nie wyrzucał za drzwi pokoju 243 tych, których słowa układały się nie w poezję, ale w chropawę rzadki papieru ściernego. Nie przekreślał tych, którzy pióro pisarskie winni zatknąć sobie na głowie, by co najwyżej udawać Indianina ku wesołości, ku pożytkowi spragnionej rozrywki poznańskiej gawiedzi. Każdemu rozrysował wśród jego linijek nieporadnie stworzonych własną ścieżkę do literackiego spełnienia. Przenosił na własnych ramionach rannych, którzy dostali odłamkiem granatu krytyki – czy wzgardy czytelników. Rozmasowywał siniaki, które nabili poeci poetom, a prozaikom – wszyscy. Nizał na nitce męskiego wzruszenia koraliki łez depresyjnych nastolatów, które nie wierzyły w życie i uda bez cellulitu. Nucił kołysanki niemowlętom w wózkach, podczas gdy ich matki drżącym głosem deklamowały przed nim wiersze pisane bezsenną nocą, na kartkach zaplamionych mlekiem i klejących się od papek witaminowych.

Był tam, był pośród nich wszystkich i każdemu wręczał piękny latawiec, by mógł nim wzlecieć swymi tekstami ponad cumulusy i nimbostratusy własnych obaw. Poważny, trochę usztywniony – pewnie nie do końca potrafił w szybkim czasie zrzucić z siebie przyciasny dla niego kostium belfra. Kostium poety leżał na nim po prostu lepiej, krawiec losu bardziej się przyłożył do wykroju. W charakterystycznych okularach, a potem już bez nich, w stonowanych kolorach garniturów i marynarek. Podczas imprez literackich – w pędzie jakimś, w zabieganiu podsterownym, z analogowym aparatem w dłoniach, by potem fotkami zapęłniać kroniki Klubu Literackiego poznańskiego „Zamku”, wręczać je poetom jak ciepłe słowo, znak pamięci, bilet wstępu na poetycki parnas, kromki chleba...

Pewnego styczniowego wieczoru i moja dłoń dotknęła nieufnie klamki pokoju 243. Zimny kształt w ręku odstraszał, ale wzrok gospodarza pokoju hipnotyzująco wciągał mnie do środka. Wokół stołu – przykrytego tonami papieru, udrapowanego nim na wszelkie możliwe sposoby, siedziało stadko dziwnych postaci. Skoncentrowani w sobie, na sobie i przede wszystkim na kartkach papieru, trzymany w nieco drżących dłoniach. Pamiętałam tylko Irenę, a może to był jednak Ireneusz (nie zaglądałam w czerwone spodnie), długowłosego Wojtkę o kosmicznym spojrzeniu i inną od wszystkich tych poważniaków – półkrwi Włoszkę.. Usiadłam na wolnym miejscu wśród tych zjaw jakby z innej galaktyki słowa i po raz pierwszy

wzięłam udział w liturgii poezji, celebrycie słów, obrzędzie tworzenia. Mistrzem ceremonii był ten mężczyzna w szarej marynarce, który wypowiedział słowa z własnej księgi początku: „Prosimy bardzo, przeczytaj...” I stało się, czytałam. Swoje teksty. Publicznie. Na kolejne spotkanie całkowicie zmieniłam styl pisanie. Namaszczone mnie – mogłam zostać.

Dariusz Tomasz Lebioda

Czerwony tramwaj

Śnił mi się czerwony tramwaj sunący po szynach w Nowym Orleanie pełen ruchomych szkieletów grających na saksofonach puzonach trąbkach i tubach

na końcu poźółtkły kościotrup uderzał w srebrzyste talerze perkusji a inny w czapce konduktora dyrygował cienkim piszczylem

z nieba lała się pożyłota słońca wędrowne kosy przelatywały z palmy na palmę chwile murszały jak stulecia i millenia

byłem jedynym żywym bytem w tym tramwaju ale tkwiłem w śmiertelnym bezruchu bladego pragnienia

big band grał coraz głośniej tramwaj wciąż przyśpieszał i już mknął w wolnej przestrzeni

unosił się w powietrzu jak zetlały pogrzebowy całun szybował swobodnie ku głuchej wieczności

Jerzy Grupiński

Chiński kronikarz pisze o ulubionej żonie cesarza - miała tak małe stopy że tańczyła na jego dłoni

Co napisać mam o tobie – która tańczysz na moim palcu

Stanisław Szwarc

O seksistowskim społeczeństwie i demokratycznym języku.

Od czasu do czasu rozpalają się żywszym ogniem tłące się kontrowersje wokół feminatywów czyli żeńskich nazw funkcji społecznych i zawodów. Zadziwiające, że argumenty odnoszące się do historii naszego pięknego języka rzadko pojawiają się w polemikach. Częściej przeciwnicy odwołują się do emocji.

Intrygujące jest także to, że waga czynników społecznych i językowych jest dziś dokładnie odwrotna niż sto i więcej lat temu. Wiele jest dzisiaj kobiet w różnych zawodach i na eksponowanych stanowiskach, mieliśmy nawet dwie *premierki*, które jednak były *paniami premier*, bo panuje przekonanie, że skoro istnieją formy typu „pani minister”, to określenia żeńskie są zbędne, a poza tym są nienaturalne. To jest jeden z argumentów przeciwników (i przeciwniczek) ich tworzenia i stosowania.

Kiedyś, aż do połowy XX wieku kobiety z trudem wywalczały sobie dostęp do wykształcenia i stanowisk. Jednak gdy już go uzyskały, demokratyczny język automatycznie podsuwał nazwy stosowne do ich zawodów i funkcji. Język czyli jego użytkownicy. Paradoksalnie – ten, kto był przeciwny kształceniu kobiet na wydziałach filozoficznych, lekarskich, prawniczych wyższych uczelni, gdy tylko pojawiły się tam kobiety, nie miał problemu z mówieniem o *filozofce*, *doktorce* czy *adwokatce*.

Język sprawiedliwie obdzielał obydwie płcie zgodnie z zasadą, że to, co istnieje, powinno mieć wyróżniającą nazwę. Wakaty wynikające z ograniczeń fizycznych lub przyjętej obyczajowości zapobiegliwie wypełniał innymi znaczeniami.

Krawiec i *krawcowa* mogli z sobą konkurować w sąsiadujących warsztatach, ale już *kowalka* mogła być tylko żoną *kowala*. *Kamieniarka* i *stolarka* to nazwy ogółu wyrobów z kamienia i drewna albo sztuki ich wytwarzania. *Szoferka* to miejsce pracy szofera. *Tkacz* i *tkaczka* rozumiałe są do dzisiaj, gorzej z *praczem* i *praczką*. Ten pierwszy istniał tylko w średniowieczu. Dzisiaj kojarzymy ten wyraz z sympatycznym amerykańskim ssakiem. Jeszcze gorzej jest w przypadku *szwacza*. Słownik Języka Polskiego PWN odnotowuje jego znaczenie – męczyzna zawodowo zajmujący się szyciem – jednak w szwalniach trudno byłoby takich znaleźć, a źródła historyczne nie potwierdzają istnienia formy męskiej.

Jeszcze w XIX w. pan prezes czy dyrektor miał swojego zaufanego *sekreterza*, bo żaden mąż czy ojciec będący przy zdrowych zmysłach, nie pozwoliłby żonie czy córce na przebywanie sam na sam z innym mężczyzną, zwłaszcza zamożnym i na stanowisku. W latach międzywojennych pani *dyrektorka* mogła mieć zarówno *sekreterza* jak i *sekreterkę*, choć niestety tylko o *sekreterce* pana *dyrektora* krążyły nieprzystojne dowcipy. Dzisiaj *sekreterkę* i *sekreterza* kojarzymy jednoznacznie – odpowiednio jako pracownicę biurową i stanowisko w partii politycznej, redakcji lub jakiejś organizacji.

Pokutujące do dziś zmiany w nazewnictwie zawdzięczamy powojennym czterdziestu pięciu

latom. Brak rąk do pracy i propagandowe akcentowanie, że socjalizm przyniósł wyzwolenie społeczne kobietom sprawiły, że pojawiły się

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 74/2020

traktorzystki, *milicjantki*, *murarki* i wiele innych. Jednak w imię fałszywie pojętego dowartościowania kobiet, a w gruncie rzeczy antyfeministycznego przekonania o wyższości form męskich, dla zawodów i funkcji prestiżowych zaczęto propagować te formy z dodatkiem słowa „pani”. Trwa to do dziś. Podwładny powie do przełożonej raczej – „Pani kierownik”, natomiast opowiadając o niej może użyć określenia – „moja kierownicza”.

Jak dobrze mają Niemcy, którzy do męskiej nazwy dokładają automatycznie przyrostek *-in* – i już. U nas, niestety, różnorodność sposobów tworzenia żeńskich określeń stwarza czasem sytuacje wręcz anegdotyczne. Po odzyskaniu niepodległości trzeba było dziesięć lat, by spośród proponowanych określeń kobiety zasiadającej w parlamencie – *posłica*, *poselka*, *poselkiny*, *posłanka* – utrwalił się ten ostatni. I słusznie, bo już ponad sto lat wcześniej tak właśnie nazywano kobietę posłaną z jakąś wiadomością. Najwidoczniej nie wiedziała tego posłanka Małgorzata Gosiewska żądająca, by nazywać ją posłem.

Znajomością polszczyzny wykazały się natomiast posłanka Magdalena Biejał przedstawiająca się jako *gościni* programu telewizyjnego i Wanda Nowicka – *marszałkini* naszego parlamentu. Wzorze takich form istnieją i to od dawna – znane wszystkim *gospodyni*, *bogini*, ale i *świadkiny* odnotowana w „Gazecie sądowej warszawskiej” na początku XX wieku, czy *wrogini* z wiersza Leona Kaplińskiego z połowy XIX w. *Gościńi* odnotował Jan Karłowicz w wydany w 1900 r. „Słowniku języka polskiego”. A była kiedyś też i *lotryni*.

Brak żeńskich określeń może prowadzić do kłopotów językowych. Dostyc podejrzanie brzmi informacja: „Lider Konfederacji Krzysztof Bosak zaręczył się z prawnikiem «Ordo Juris»”.

Co ciekawe, w przypadku powstających na naszych oczach zawodów i aktywności względny płci nie stanowią najmniejszej bariery. Są *blogerzy* i *blogerki*, *slamerzy* i *slamerki*, a jeśli nie ma *brafitów* to tylko ze względów obyczajowych, choć zapewne znaleźliby się mężczyźni chętni do profesjonalnego dobierania paniom biustonoszy.

Język ciągle się zmienia i warto zastanowić się nad słowami Samuela Bogumiła Lindego zapisanymi ponad dwieście lat temu – „Wcale zaś żadnego nie mamy [słowa] na wyrażenie kobiety w rzeczy samej trudniącej się sztuką jakową, jak np. malarki, aktorki – chyba Artystka”. Nie mamy? Ależ mamy i będziemy mieć jeszcze więcej.



Artur Dudziński

Pani Zofia

1.

— Zgaszona jesień tego roku, to stan przejściowy — usłyszałem. — Stan... przejściowy.

Pani Zofia ukryła twarz w prawej dłoni i zamilkła. Zdawała się drzemać w fotelu ustawionym na opak. Była jak uczesana, w byle jakiej pozycji, jakby ogarnął ją bezwład jakiś i kazał odespać dla snu stracone noce. Siedziała matka bolejąca, *Pietà* nieco zmieniona: z nogą przy nodze, z ręką w poręcz wciętą, z drugą wspartą na poręczy i z twarzą w tej ręce. I nie, żeby którąś ręką lub nogą — nic. Ciało w fotel wrośnięte: nogi stopione, dłoń w twarzę, poręcz w pół naciętą. Ciało w fotelu, fotel w ciele. Bryła żałobna i rzeźba. Pani Zofia wyglądała, jak cała Polska wtedy — pacjentka z rozpoznaniem katalepsji narodowej. Patrzyłem na panią Zofię, 13 października 1983 roku w jej mieszkaniu, i nie potrafiłem uwierzyć, że zaniemogła, że... to ona.

Rozmawianie tamtych dzionków. Ciężkie i brudne, gdziekolwiek nie spojrzeć. Grube drewniane futryny w kolorze pożółkłej bieli, podłogi z desek pokrytych warstwami czerwonej farby. Ciemnopopielate story, sprzęty i meble, których nie sposób dopasować. Niby powszechna atrofia gustu. Bylejakość nocy i dni od snów począwszy, a skończywszy na codziennych wyborach. I niedbalstwo zakorzeniane w nas przez dziesięciolecia i trwające po dzień dzisiejszy. Gradacja szarości za oknami tamtych dni. Mieszanina bieli i czerni. Czarno-biała melancholia gruchającego gołębia. A przed oknem: kobieta z nadziei, matka z wyboru — pani Zofia odziana w czerń. Stoi i zerka poza to, co widać.

2.

*Myślę, że to, co czytałem, sprawiło, że stałem się tym, kim jestem.*¹

Zmierzchało. Nad bryłą żałobną i rzeźbą tonącą w mroku pokoju zawisło zdanie o kondycji polskiej jesieni 1983. Zawisło niczym neon, niczym białe i wielkie skrzydła próbujące oderwać trójwymiarowy monolit, alegorię rezygnacji od jej znaczenia, racji bytu, powodu, od źródła, od stanu wyjściowego. Słowom oczekiwania i ufności: „to stan przejściowy” przeczyło ciało zanurzone w fotelu ciężarem bezwładu i niemo wykrzykujące zniechęcenie. Nie wiedziałem, co począć, co zrobić przed ikoną prawdy i słabości obcą ze szkoły i rodzinnego domu, gdzie królowały: beztroška i nie-domówienia. Pomyślałem: „Zagram na instrumencie. Pozwolę przemówić muzyce, byleby kalekim słowem lub gestem nie wtargnąć w *sacrum* rozpacz, nie przerwać pani Zofii kontemplacji bólu”.

Lampka przytwierdzona do pianina oświeślała to, co trzeba: klawiaturę i pulpit. Sięgnąłem po tomiszczę szlagierów muzyki klasycznej albo, jak



wolą inni, poważnej. Otwierając zbiór, trafiłem na *Wokalizę* Sergiusza Rachmaninowa, pieśń kompozytora opracowaną na fortepian solo. Mogłem kopać dalej — szukać prostych utworów Bacha, Schuberta, Brahmsa (poplamiony ciemnozielony tom zgromadził przeboje kilku epok) — ale zostałem przy Rachmaninowie wbrew lenistwu, a może na przekór krytykom twierdzącym, że muzyka Rosjanina, określanego przez nich koszmarnym epigonem, pozbawiona jest wartości. Tak dyszy pospolita zazdrość względem artysty rodem z Rosji, którego sztukę przenika rzadka namiętność. Położyłem palce na klawiaturze. Muzyka Rachmaninowa skąpana jest w uczuciach, jak pieczeń w pełnusięńskiej tłuszczy brytfannie, w uczuciach, które wpadają rzekomo w krańcowy i pusty sentymentalizm, przywodzący na myśl inną ofiarę żarłoczności krytyki: Gustava Mahlera. Przesada daje znać o sobie w popisowym gadulstwie — pianistycznym wirtuozostwie Rachmaninowa, lecz nie jest zła i nie świadczy o braku smaku, jeśli w jej obronie stoją autorytety Świątósława Richtera i Emila Gilelsa. Nazwijmy Rachmaninowa i Mahlera zanurzonych po uszy w przesadzie kompozytorami muzyki napisanej do filmów, które powstaną w wyobraźni rozmiłowanej w dźwiękowym przerysowaniu i wyolbrzymieniu. I zwróćmy uwagę: Mahlera i Rachmaninowa się słucha, podczas, gdy tak zwanych nowatorów, mistrzów zwięzłości i proporcji: Weberna, Berga i Schönberga — docenia.

13 października 1983 roku grałem przed panią Zofią zapadłą w czerń otoczenia i duchowego letargu. Prawdę mówiąc: próbowałem zmierzyć się z miniaturą tytana coraz bardziej spocony, czy natłuszczony romantyzmem rozsadzającym ramy utworu i ciała. Starąłem się, ile sił, wyśpiewać genialny, jakby bachowski porządek głosów. Ponieważ *Wokalizę* widziałem po raz pierwszy, omijałem poszczególne jej nuty i akordy. W muzycznym szachrajstwie pomagał mi prawy pedał instrumentu służący dyletantom do tuszowania ich braków. Do przedostatniej strony dotarłem z wypiekami na twarzy. Przerwałem grę. Zawładnęło mną spojrze-

¹ A. Kaczorowski, *GRA W ŻYCIU Opowieść o Bohumilu Hrabalu*, Czarne 2004, s. 53.

nie pani Zofii: wzrok osoby wyrwanej z koszmarne-
go snu:

— Czytałeś Jesienina?

— Nie.

— Nie czytałeś Jesienina? Matko Boska, jakie
cudne wiersze...

— Nie czytałem...

— A ja myślałam... a ja chłopcze odniosłam
wrażenie, że słucham poezji, że słucham jego po-
ezji odmalowanej dźwiękami. Matko Boska... —
Pani Zofia złapała głowę w kleszcze dłoni i stanęła
przed starym fotelem naciągnięta jak basowa stru-
na pianina. — Matko Boska, jakie cudne wiersze...
jakie cudne wiersze...

Miałem powody, dla których wołałem, aby nie
przytłapano mnie na ignorancji. Z kolei dom pani
Zofii był miejscem, w którym nie bałem się konse-
kwencji mojej niewiedzy. Ale o tym później.

Pani Zofia prawila o barwności utworów po-
ety. Porównywała rozmach poetyckich wizji do
przestrzeni malarskich Szyszkina, którego prace
znałem z albumu znajdującego się w zbiorach ojca.
Kobieta gestykulowała jak symfoniczny dyrygent,
a jej oczy rozsadały gromy. Przyznaję, że nie
zrozumiałem słów pani Zofii o rosyjskiej odmianie
melancholii, o tkwiącej w owej melancholii sile
destrukcji. Pani Zofia stwierdziła, że byłoby lepiej,
gdyby ludzkość nie sięgała po Jesienina i zaniecha-
ła obcowania z Czajkowskim. Na koniec dodała:

— Byłoby lepiej dla ciebie, chłopcze, gdybyś
czasem mnie nie słuchał.

Byłem posłuszny — nie słuchałem już pani
Zofii. I jednocześnie nie widziałem rozmówczyni,
choć staliśmy naprzeciw siebie. Przede mną rozta-
czał się obraz biblioteki: oto sterczałem wpatrzony
w płot: grzbiety tomików niczym paliki różniące się
barwą i rozmiarem, przechylone na lewą stronę,
łączyła żerdź alfabetu; z biciem serca sięgnąłem po
piwowski palik z nazwiskiem poety koloru przejrz-
stej cytryny, złapałem oburącz, odgiąłem i przeci-
snąłem się przez ogrodzenie, gdzie odnalazłem
zapach, jakiego wcześniej nie znałem; tam, pośród
ziół i jarzębiny, zauważyłem — pacholę — postro-
nek na mej szyi: uwierał, próbowałem zdjąć; po-
ciągnięto za sznur... delikatnie... potem mocniej...
Ruszyłem...

Wysoki komin, wzniesiony nad parterowym
budynkiem, wygląda jak wyprostowany i ostrze-
gający ludzkość wskazujący palec. Miejsce przypomi-
na mieszkalny barak. Każda ściana w innym kolo-
rze. Brud i graffiti. Okna za kratami. Drzwi pozba-
wione wyrazu zdają się nie zapraszać do środka.
W dobie brukowej kostki pokrzywiony chodnik
prowadzący do budynku sprawia wrażenie nieudol-
nej improwizacji. Do wnętrza, gdzie odbywa się
hurtowa sprzedaż, wytrwali docierają jakoś z uko-
sa. Kąta prostego brak. Księstwo tymczasowości.
Nic wyjątkowego: prowizorka, która w tej części
Europy jest popularna i zadziwiająco trwała. Robi
się coś na razie ze szczerem zamysłem dokonania
zmian rychłych i ostatecznych... I nic więcej —
zostaje, jak było. Prowizorka — poronione dziecko
wyobraźni i niecierpliwości — jest po to, by służyć
dziesięciolecia. Do rzeczoności obiektu dochodzi się
z trudem, zwłaszcza gdy pada albo zbliża się czas
roztopów. Nie ma gdzie nogi postawić. Mijane kału-
że są jak wielkie i niezapomniane okulary generała
pilnującego niegdyś naszych kroków. Jesteśmy
w Poznaniu przy ulicy Opolskiej 81. W latach
osiemdziesiątych adres ten wabił mnie niezależnie
od pory roku i warunków. Gdyby pękła ziemia po-
między ulicą a owym punktem świata i uczyniła

rozpadlinę nie do pokonania przez człowieka, ja, nie-
człowiek a czytelnik, osiągnął-
bym ów punkt skokiem nadczłowieczym. Zrobiłbym
to dla bezcielesnego uniesienia, swoistego transu,
wyzwolenia z siebie, i — nieba, jakie daje lektura,
o czym poucza nas Susan Sontag. W latach osiem-
dziesiątych mieściła się tu biblioteczna filia z paro-
ma regałami i magicznym zapachem ukrytym
w książkach. Tak naprawdę wszystko zaczęło się od
zapachu *W stronę Swanna* Marcela Prousta.
W bibliotece miało początek. Pochylony nad pierw-
szym tomem proustowskiego cyklu doznawałem
zawrotu głowy, chłonać woń kartek pożółkłych
i szorstkawych, przesiąkniętych emocjami palców,
nadpalonych błyskami inteligencji upojonych oczu.
Wierzę, iż stąd bierze się charakter papieru biblio-
tecznej książki. Z miłosnej adoracji czytelnika,
który pieści stronicę jak skórę uwielbionego ciała.
Zostawia na nich ślinę, łzy, włosy. Oczywiście nie
czytałem zawsze. Właściwie to od niedawna —
powiedziałem do pani Zofii — zacząłem czytać od
proustowskiego zapachu, choć to nie zapach a
„smak zmoczonej w kwiecie lipowym magdalenki”
rozślawił autora *W poszukiwaniu straconego czasu*.
U mnie inicjującym był zapach. Zapach bibliotec-
znej książki. Roztoczony aromat kartek spajał kon-
centrację. Pobudzał fizjologiczne procesy. Mobili-
zował na wszystkich poziomach. Spędzałem godzi-
ny w bibliotece, snując się odurzony pomiędzy
regałami: wiedziony od zapachu Marcela Prousta do
Fiodora Dostojewskiego, od Tomasza Manna do
Juliana Przybosa. Każdy pachniał inaczej. Zamyka-
łem tomy, całowałem, otwierałem je i wahałem
ponownie. Odżywiałem się tą właściwością bibliote-
ki. Miałem chęć połączyć stronicę pachnącą herbat-
nikami, słodko, duszno i ciężko zarazem, nic
z czytanego nie rozumiejąc. Pokochałem literaturę
przez jej wonność. Od nosa strony. Dopiero potem,
umoszczony w zapachu, odkrywałem zawartość
literackiego skarbcza, z wolna pojmowałem treść
kunsztownych zdań, niezauważenie wkraczałem do
nieba, które w cudowny sposób pozwalało zapo-
mnąć o nieznosnym ja.

Bibliotekarka, skądinąd osoba dyskretna, py-
tała o moje zainteresowania, gusta, szukając klu-
cza, który miałby wyjaśnić jej tajemniczość czytel-
niczych wyborów. Ale ja zbywałem wysiłki tej pani
nieśmiały i grzecznym uśmiechem. Miała urodę
Rachmaninowa i męski głos, nadający się do pia-
stowania funkcji dyrektorki szkoły.

Z biblioteki pożyczałem książki woniejące naj-
intensywniej. Zatrzymując uwagę na poziomie
węchu, dostrzegłem po latach praktyki, że najgłę-
biej pachniały utwory, z którymi czytelnicy nie
potrafili się rozstać, czyniąc je powiernikami, kom-
panami biesiady, a często niańkami kołyszącymi do
snu, by nie powiedzieć — kochanicami. Pozycje te
zawierały ślady codziennego życia: tłuste plamy po
maśle, cienkie rogaliki (zarysy pozostawionych
łyżeczek od herbaty lub kawy), resztki szminki do
ust. Ale i podkreślenia, wykrzykniki i odręczne
notatki, świadczące o byciu rozumianym przez
dzieło, które rozumie czytelnika jak nikt inny, dzie-
ło napisane przez autora nierozumianego przez
nikogo i dzięki temu, a może przede wszystkim
dzięki temu powstałe. Biblioteczne książki pachnia-
ły przepaścią zjednoczenia z czytelnikami. A ja
badałem jakość i rozmiary owej zażyłości. Od stro-
ny nosa. Czegóż nie znajdowałem w bibliotecznych
książkach. Rasowi czytelnicy — to fetyszyści.

Dokończenie w następnym numerze Protokołu.

Jacek Dudek

I

próbowałem rozpocząć od budowania
i zawsze cegła spadała na nogę
ból jest chwilowy
pro wizorki najtrwalsze
bezokolicznik pozwala szukać
okoliczności względnych
uchodzić za zwierzę stadne
odzyskać pozyskać zostać pozostawić
właściwie to logiczna całość
liczy się budowanie
a wcześniej rozbiór
wojna człowiek historia
można odbiec albo
nie bać się słowa Kocham

II

pole bitwy selekcja naturalna
słabi odchodzą mocni sięgają bruku
słowo nie jest liryczne sztuka szokuje
urodzeni za wcześnie za późno
nie uniosą piedestału
odesłane do kąta
cicho umiera piękno przygasa
jakby Bóg palec skaleczył

III

doskonale znam
ukrywanie ułomności
sposób na czystość
w obrzeżach cicho
i za daleko abym mógł usłyszeć
bez ciebie odpuszczam
czekam co odpowie
małomówny mistrz
lepiej wyjść na mruka niż na idiota
łatwiej bez słów

daj Panie język połknąć

Wiersze pochodzą z najnowszego tomu.

Jacek Dudek - Poeta, animator kultury, pomysłodawca i organizator cyklicznych imprez poetycko-artystycznych „Port Poetycki” w Chorzowie. Współautor i wydawca książek poetyckich „Druid Bar” i „Ziemia Druid” wydanych kolejno w 2003 i 2004 roku jako dorobek literacki Grupy Poetyckiej „Druid”. Wydał tomy poetyckie: „Biała Ryba” (TAWA, Chełm 2008), „Homo Silesius” (Zaułek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2013) i „Imiona tkanek” (Fundacja Duży Format, Warszawa 2020).



Barbara Kęcińska – Lempka

Rozumie, popiera... ale nie podpisze

Tuż po wojnie władze komunistycznej Polski walczyły z polską emigracją. Tych, co po wojnie nie wracali do kraju obrzucano obelgami. Pisano, że są na żołdzie obcych i wrogich Polsce interesów, podejmują się wykonania „wszelkich brudnych zadań, jakie jej zlecają dolarowi i szterlingowi mocodawcy”. W roku 1955 roku bezpieka, chcąc rozbić „wrogie skupisko polityczne” i „opróżnić rezerwuar, który imperialiści wykorzystują przeciwko naszemu obozowi” zmieniła metody działania. Utworzono radiową rozgłośnię „Kraj” - propagandowe audycje miały nakłaniać do reemigracji. Drugim środkiem realizacji nowej polityki wobec emigrantów był pomysł (wyszedł z Moskwy), by zaangażować znanych ludzi w kraju do firmowania powrotów do ojczyzny. Powołano w tym celu (w 1955 roku) Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”. Dla emigrantów i bardziej świadomych Polaków było jasne, że „Polonia” jest tylko parawanem dla działań bezpieki.

Kolejnym sposobem było zorganizowanie, rzekomo spontanicznej i oddolnej, inicjatywy 50 polskich intelektualistów, którzy mieli zwrócić się z apelem do emigracji i nakłaniać ją do powrotu. Podpisy pod apelem zbierano przez dwa miesiące, wyznaczając koordynatorów akcji. Jeden ze zbierających podpisy (pracownik służb) raportował o swoich rozmowach między innymi z „literatką” Kazimierą Iłakowiczówną. W Instytucie Pamięci Narodowej zachowała się notatka z tych spotkań. Każdej z nakłanianych osób, nieznanym (podpis na raportach jest nieczytelny) konfident poświęcił sporo miejsca. Tak opisywał spotkanie z Kazimierą Iłakowiczówną:

„Oświadczyla, że rozumie doskonale potrzebę tego rodzaju akcji i popiera ją, ale odezwy nie podpisze bez polecenia (!) przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Frontu Narodowego prof. Kwiatka. Tłumaczyłem jej, że nie można tego wiązać z Wojewódzkim Komitetem Frontu Narodowego, a chodzi o jej osobisty akces w tej sprawie i decydować powinien indywidualny stosunek każdej osoby do złożenia podpisu pod apelem. Złośliwie stwierdziła, że po 10 latach uczenia myślenia i robienia na komendę trudno od niej wymagać, aby dzisiaj indywidualnie i osobiście decydowała. «Każą, to proszę bardzo, - wie pan - sprzeciwiać się nie będę.» Bardzo rekomendowała mi rozmowę z prof. Kwiatkiem, nawet łączyła mnie telefonicznie z jego mieszkaniem - na szczęście nie zastałem go w domu. Ostatecznie powiedziałem jej, że będę rozmawiał z prof. Kwiatkiem, ale nie wiem czy jeszcze wrócimy do tej sprawy. Zapisała sobie mój adres - sytuacja w rozmowie była taka, że nie mogłem go nie podać - na Ministerstwo Kultury i Sztuki. Mówiła, że chce wiedzieć, gdzie przesłać swój akces, o ile taką decyzję podejmie. Tym niemniej rozmowę zakończyłem bardzo pokojowo[...]. Chciała podejmować mnie kawą i śniadaniem - pożegnałem się z babsztylem bardzo uprzejmie (na ile w takiej sytuacji było mnie stać).”

W rezultacie pisarka odezwy nie podpisała, co w tamtych latach było aktem dużej odwagi.

PROTOKÓŁ
kulturalny

Dużo mniej nerwów kosztowało „zbieracza podpisów” spotkanie z Eugeniuszem Paukszta, choć i też nie było łatwo:

„Na wstępie bardzo serdeczne przyjęcie ze strony jego i małżonki. Kawa, nalewka wiśniowa, od której nie mogłem się wymówić. Pani domu podkreślała, że litewska, i że w ogóle hołdują tradycjom wileńskim. Apel przeczytał i podpisał. Miał pewne uwagi do tekstu, nie merytoryczne. Uważał, że trzeba pisać językiem bardziej ciepłym. [...]. Wiedząc, że pracuję w Ministerstwie Kultury i Sztuki i we Froncie Narodowym, przeprowadził ze mną prawie dwu i pół godzinną rozmowę. Mówił z dużą pasją i żarliwością o blaskach i błędach w naszej robocie politycznej, wydawniczej i kulturalnej wśród autochtonów. Zwracał uwagę na olbrzymie akcje wydawnicze o tematyce rewizjonistycznej i antypolskiej w NRF i braku przeciwstawienia się temu u nas w postaci odpowiedniej publicystyki i wydawnictw. Zna bardzo dobrze problematykę autochtoniczną, przytaczał szereg wypadków pogwałcenia praworządności i wypaczeń autochtonów. Jako działacz Frontu Narodowego i pracownik resortu kultury przez dwie godziny musiałem ustosunkowywać się do różnych zagadnień poruszanych w rozmowie.”

Korzystałam z książki Sławomira Cenckiewicza „OCZAMI BEZPIEKI szkice i materiały z dziejów aparatu bezpieczeństwa PRL”, wydawnictwo LTW, Łomianki 2012.

Anna Landzwójczak

naprzeciw wyroczni

wizjonerzy przepowiadacze
i innej maści prorocy
było czarno na białym
z szelestem łatwopalnych wizji
było kolorowo z aktorskim zadęciem
i krajobrazem z księżycą
było też pomrukiem szeptu
wprost do napiętej małżowiny
tak żeby strach zamieszkał w snach
dzwony były na trwogę
a codzienność zdawała się na chwilę

co tam ozonowa dziura
skorupa śmieci przylepiona
do skorupy ziemi i powietrze
którym nie sposób oddychać

co tam wojny potyczki zbrodnie
okrwawione rękojeści noży
co tam gwałty i przemoc
brzytwa przy nadgarstku i sznur
napięty niecierpliwie

zdarzyć się miało
zdarzyć się musiało
i nikt spośród wizjonerów
żaden spośród wieszczów
nie ma odwagi rzecz
- a nie mówiłem -

Bogna Wiczyńska

Andrzej Babiński – legenda i fakty

Warto przytoczyć parę wspomnień opublikowanych w almanachu wydanym z okazji XXV-lecia istnienia Klubu Literackiego C.K. „Zamek” w Poznaniu, redagowanego przez Jerzego Grupińskiego – poetę i animatora kultury, prowadzącego od 1970 r. spotkania literackie w ramach działalności tegoż Klubu. Wśród wspominających znajdują się uczestnicy wieczorów poetyckich, którzy zetknęli się z Andrzejem Babińskim:

Pierwszym ze spotkań literackich „Przy kominku”, w którym uczestniczyłem, był wspólny wieczór autorski Edwarda Balcerzana i Stanisława Barańczaka 9 października 1972 roku (data dedykacji na „Nieufnych i zadufanych”), które w pewnym momencie zdominował Andrzej Babiński. Szczególnie ucieszył się Balcerzana i charakterystycznie kiwając się w karkołomny sposób na jednej nodze, z wielką ekspresją całego ciała i uporem powtarzał „Na litość boską, ale o co w tej książce chodzi?” (Pytanie dotyczyło prozy E. Balcerzana „Któżby nas takich pięknych jasnych...”). Autor próbował cierpliwie zignorować natrętnego czytelnika, jednak gdy ten nie dawał za wygraną, odprowadził mnie więcej w ten sposób:

– Wie Pan! To tak jak w „Hamlecie” Szekspira! Ktoś umarł, ktoś umiera, ktoś ma umrzeć!²

Andrzej miał też wtedy na sobie taką pelerynę... Dostał ją za wygranie turnieju Czerwonej Róży w Gdańsku. Ta peleryna z jednej strony była cała czarna, z drugiej cała czerwona. Więc ubrał ją tą czerwoną stroną na wierzch i w tej swojej tadżyckiej, czy też uzbeckiej czapeczce biegał po Pałacu, biegał po placu Mickiewicza i potem pobiegł na dworzec. Ręce szeroko rozstawił jak skrzydła, jak ptak jakiś ogromny wyglądał... Tyle, że jeszcze wołał: „Jestem Breżniew! Jestem Breżniew!” A to było za czasów tamtego sekretarza Rosji i mogło się wszystko jakoś źle skończyć, ale jakoś mu nic nie zrobili, nawet na dworcu, gdzie babiny stojące w kolejce po bilety osłupiały³.

(...) Żył poezją tak dalece, że były mu obce wszelkie konwenanse, autorytety, regularny tryb życia, dbałość o powierzchowność. Przyjście Babińskiego na wieczór literacki najczęściej kończyło się skandalem. Znanemu, nieżyjącemu już pisarzowi, deklarującemu w swoich książkach miłość do przyrody, skrupulatnie wyliczył ile drzew zrabano na wydanie wszystkich jego książek. Nic dziwnego, że luminarze literatury bali się Babiń-

skiego jak ognia. Krążyły opowieści, że na jednym ze spotkań w Warszawie Andrzej dopadł Mieczysławę Buczkównę, by siłą wyperswadować jej promowanie „marnej” poezji. Jerzy Harasymowicz, zaproszony do Poznania postawił jeden warunek: „Na moim wieczorze nie będzie Babińskiego”. Recytowanym wierszom towarzyszył głuchy łomot. To dobijał się do Sali kominkowej w Zamku Andrzej Babiński, przed którym zamknięto drzwi (...)⁴.

Takich i podobnego typu wspomnień możemy znaleźć wiele. W 1998 roku powstał film w reżyserii Tadeusza Piotra Króla zbierający wypowiedzi osób, które pamiętają poznańskiego poetę. Wystąpili w nim m. in.: Nikos Chadzinikolau, Jerzy Grupiński, Andrzej Mendyk, Wincenty Różański, Andrzej Sikorski. Z jednej strony można powiedzieć, że wątki biograficzne są dość istotne dla naszych badań, z drugiej jednak wiemy, że nie należy skupiać się nadto na legendzie i ekscentryzmie samego poety, mamy bowiem świadomość, iż odbyłoby się to kosztem uwagi, jaką należałoby poświęcić poezji. Pamiętać jednak trzeba przy tym, że nie sposób oddzielić twórczości Babińskiego od jego osobowości i sposobu bycia – z tej prostej przyczyny, że on sam dążył do zatarcia granic między twórczością a życiem – a przynajmniej uważał, że ich nie stawia. Jego życie, gesty, prześiąknięte są więc chęcią budowania własnej legendy, życia życiem poety – aż do przekroczenia pewnych granic. Jak pisał Jerzy Szatkowski w jednym ze wspomnień poświęconych Babińskiemu (tłumacząc *nota bene* niejasności i zawiłości utrudniające ustalenie faktów biograficznych poety):

(...) desperacko, kaskadersko i maniakalnie (ale i nie do końca bez racji) budował swoją legendę. Miejskami niezgodnie z prawdą wypełniał nawet wnioski, podania, ankiety personalne. Zakłamywał i ubogacał życiorys, kiedy już musiał go pisać. A także (to bardzo ważne!) antydatował i postdatował wiersze⁵.

Z ciągłej potrzeby twórczości i kreacji (czy raczej auto-kreacji), a nade wszystko z potrzeby istnienia⁶ wynikają zatem liczne życiorysy, które pisał, mijające się często z prawdą⁷. Co także wydaje się istotne, pragnął żyć samą poezją w sposób tak dosłowny, że cały swój czas planował poświęcać na pisanie, w żaden inny sposób nie pracując zarobkowo⁸. Wzbudzało to trwogę u matki poety – Leontyny Babińskiej⁹.

⁴ Ze wspomnień Barbary Lempki, *Arka. Almanach...*, s. 60.

⁵ J. Szatkowski, Andrzej Babiński: „Ostatnio poznałem niejakiego Stachurę”, *„Okolica Poetów”* 3/1999, s. 25.

⁶ Warto przytoczyć jako ciekawą ilustrację dla tego zagadnienia następujące słowa ze szkiców Babińskiego: (...) *Przecież ja donoszę całemu światu, że istnieje świat i ja na tym świecie. Donoszę w poezji. Zawiadamiam. To więcej znaczy niż życiorys; [w:] Ibidem*, s. 26.

⁷ Zob. Aneks: 3. Życiorys.

⁸ Zob. W jednym z życiorysów pisał: *Nie umiałem połączyć stałej pracy z pisaniem / a wiersze pisałem od dziecka/; w związku z tym miałem się wiele prac zleconych, dorywczych, sezonowych.* [Aneks,]

⁹ Zob. Aneks: 5. List Leontyny Babińskiej do Andrzeja. W jednym z listów Leontyna Babińska pisała: Andrzej!

Przesyłam Tobie 20 zł. Ale jak można żyć bez pracy, bez pieniędzy. Ja sobie nie wyobrażam. Ja

² W. Gawłowski, „Krąg spotkań” *Almanach Klubu Literackiego Centrum Kultury Poznania „Zamek” 1970-1995*, Poznań 1995, s. 47.

³ Włodzimierz Braniecki „Guru z Pałacu”, *„Głos Wielkopolski”* 23/24 1991, s. 5; cyt. za: *Arka. Almanach...*, s. 61.

Sam Babiński na temat poezji pisał natomiast: (...) *ja twierdzę, że człowiek prócz modlitwy nie ma nic do powiedzenia: / Za pokutę mam milczenie. Tu dopisek: O mojej poezji*¹⁰. Widoczna jest w tej wypowiedzi swego rodzaju absolutyzacja słowa poetyckiego – jest tu modlitwą, poza którą człowiek *nie ma nic do powiedzenia*. Zatem jedynie poezja jest tym, co warto pisać i o czym mówić; jest jedyną sferą, w której warto działać, a wszystko poza nią niewarte jest uwagi.

Warto, nim przejdziemy do kwestii najważniejszych – a zatem do omawiania poszczególnych wątków twórczości Babińskiego – uporządkować pewne fakty z życia poety. Niektóre rzucają pewne nowe światło na jego poezję i mają niebagatelne znaczenie dla sposobu, w jakim odczytamy wiele wierszy, a także stanowią okoliczności wyjaśniające taki, a nie inny rozwój jego poezji. Jedno z ważniejszych miejsc biografii Andrzeja Babińskiego zajmuje bez wątpienia niespełniona miłość do Krystyny Orłow, istotna jest także znajomość z Edwardem Stachurą – choćby dlatego, że dzięki wsparciu, jakie otrzymywał od autora *Całej jaskrawości*, udawało mu się zaistnieć na łamach czasopism literackich, a także wydać debiutancki tomik poezji.

Warto zauważyć, że szerszemu gronu czytelników Babiński znany jest właśnie z prozy Edwarda Stachury zatytułowanej *Wszystko jest poezją*, w której opisany zostaje jako „ten, który nigdy nie śpi”¹¹, bliźniacza dusza, z którą autor dzielił los poety, nie śpiącego, lecz nocami piszącego wiersze, rozdartego, tułacza. Warto nieco przybliżyć historię tej znajomości, gdyż zaważyła ona w znacznym stopniu na rozwoju twórczości Babińskiego. Poeci zetknęli się ze sobą podczas studiów na KUL w 1958 r.¹² – Babiński był wówczas studentem I roku teologii świeckiej, skąd przeniósł się w następnym roku na psychologię; studia przerwał jednak w czasie II semestru¹³ i wrócił do Poznania.

Znajomość między Stachurą a Babińskim odnowiła się – na szczęście dla Andrzeja – po latach. Ponowne spotkanie oraz okoliczności, w jakich wówczas się znajdował, Babiński opisuje w następujący sposób:

Pisałem kiedyś, o czym wiesz, wiersze. Zarzuciłem na 5 lat, ale nie darowałem swego. Przystąpiłem do pisania od 1 roku. Rozpisałem rękę, napisałem 5 wierszy przez jeden rok. Ale pisanie wierszy to samobójstwo w tym nawiasie czasów. Zdążyłem się jednak ze wszystkimi redakcjami pożreć, i środowiskiem też. (...)

Sukcesów w poezji nie odniosłem żadnych ale chcę napisać te 50 utworów. Wiesz, między Bogiem a prawdą mam kilka wierszy, które mnie ocala. (...)

Z poezją było tak. Przed rokiem odszukał mnie Stachura – kompan z Lublina, autor 7 (siódemka przekreślona – podkr. J.S.¹⁴) książek i powiedział: jesteś geniusz, koniecznie pisz.

Stachura, jak zresztą wynika z powyższego ustępu, wysoko cenił twórczość Babińskiego – stąd wsparcie, jakie poznański poeta regularnie otrzymywał od autora *Całej jaskrawości*. Sted (jak mawiali na Stachurę bliscy) z pomocą Jerzego Leszina-Koperskiego i Andrzeja K. Waśkiewicza pomogli Babińskiemu w wydaniu debiutanckiego tomiku poezji *Z całej siły* (Poznań 1975)¹⁵; niejednokrotnie torował mu też drogę do publikacji w czasopiśmie literackim¹⁶. Można jednak powiedzieć, że największą przysługą, jaką kiedykolwiek uczynił dla Babińskiego i jego poezji, było przyprowadzenie go w 1968 roku na jedno ze spotkań odbywających się w Salonie Artystyczno-Literackim przy ulicy Bystrzyckiej 6, które zapoczątkowało nowy rozdział życia Babińskiego zatytułowany „Krystyna Orłow”¹⁷.

Dokończenie na str. 19

chorowałam jeszcze bardziej kiedy nie mogłam dobrze pracować i szłam na rentę.

Tego nie mogę zrozumieć.

Jeśli nie będziesz pracować to bardzo smutnie i tragicznie wszystko skończy się.

Mężczyzna musi pracować na siebie i na żonę i dzieci. Pozdrawiam ciebie Twoja Matka

Odpisz mi jak dostajeś. Jak przyjadę do Poznania to nie wiem jak z Tobą się spotka

¹⁰ J. Szatkowski, *Andrzej Babiński: niedawno poznałem niejakiego Stachurę*, „Okolica Poetów”, nr 3/1999, s. 29

¹¹ Patrz: E. Stachura, *Wszystko jest poezją*, Warszawa 1987: *Innym z nigdy nie śpiących jest Andrzej Babiński, z którym kiedyś, dawno (za górami, za lasami) nie przespałimy wiele dziesiątków nocy, pisząc wiersze, latem w łazience, zimą w izdebce kuchenek gazowych, w kulowskim akademiku na ulicy Sławińskiego w Lublinie*; s. 11-12.

¹² Zob. Aneks: Fotografie. Fotografia z czasów studenckich.

¹³ Patrz: J. Szatkowski, *Andrzej Babiński: „Ostatnio poznałem niejakiego Stachurę”*, „Okolica Poetów” nr 3/1999, s. 25-29. Szatkowski pisze, że Babiński w życiorysach często kłamał na temat swoich studiów – redaktor „Okolicy Poetów” podaje przykłady: *To było tak. Musiałem przerwać studia w Lublinie /.../ będąc już na II roku filozofii*.

Także w udostępnionym na potrzeby tej pracy życiorysie przeczytać możemy: *W latach 1957-*

1961 studiowałem psychologię na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie – podczas gdy z informacji opublikowanych we wspomnianym numerze „Okolicy Poetów” wynika, że poeta przerwał studia w II semestrze roku akademickiego 1959/1960 [zob. Aneks: 4. Życiorys 3].

¹⁴ Jerzy Szatkowski.

¹⁵ *Ibidem*, s. 29. Wypowiedzi zawarte w listach obu poetów wskazują na to, że Stachura niejako pełnił rolę „opiekuna” Babińskiego – nie tylko mobilizując go do dalszego pisania, ale także niejednokrotnie ułatwiając czy umożliwiając mu publikację; patrz: „Okolica Poetów” nr 3/1999, s. 25-29.

¹⁶ *Dwa listy Stachury do Andrzeja Babińskiego*, „Okolica Poetów” nr 21/2003; Stachura pisze: *Dlaczego nie przesyłasz wierszy? I czemu nie piesz nic? Koniecznie przyślij mi natychmiast kilka wierszy. Mam możliwość wydrukowania ich* [List pierwszy]; *Wiersze w „Twórczości” załatwiam. Są opory. Dzisiaj zanoszę im nową porcję wierszy. Na pewno coś wydrukują. Niemożliwe, żeby nie. Czekał na wieści ode mnie* [List drugi].

¹⁷ Zob. też wiersz Wincentego Różańskiego zadeptykowany Krystynie Orłow: W. Różański, *A Ona*, „Okolica Poetów” nr 73/2016, s. 42.

kiedy kwiaty całują niebo
ty spacerujesz letnią porą
brzegiem morza
mokry piasek pieści twoje stopy
a słońce zaplata jasne warkocze
w kolorowe wstążki
tylko wiatr lekko tańczy na fali
to kołysze czerwone róże
w twoim ogrodzie
muślinowa kwiecista sukienka
delikatnie podkreśla kształty sylwetki
w słoneczny dzień
bo kiedy kwiaty całują niebo
niebieskie motyle tulą się do ciebie
jak w magicznym śnie

znika świat słów gestów pocałunków.
nikim szczególnym nie
jestem ale szczerze obchodzą mnie uczucia.

lubię odejść aby wrócić tak wciąż od nowa jak
 przykazano.
 nadal konsekwentnie odgrywam siebie.
 wypełniam pełnię
 - paradoksalne? tylko z pozoru. lubię odejść
 żeby wrócić.

kiedyś trochę doskwierało ale to już skowyt przeszłości –
po drodze zmienne błyskotliwe obrazy. Allen
Ginsberg nadal
dryfuje zakotwiczony do biurka z okrętowego
drewna.

pisze kolejne epickie listy-poematy celujące
 w zapał młodych
 mężczyzn poetów awangardowych
 ofiarowując im dziwne
 konfesyjne poczucie bezpieczeństwa.

Maria Ciężela

* * *

siedem razy nazywam biel
i siedem razy czerń
siedemdziesiąt siedem słów nowych
dla nazwania siedmiu

wszystko chcę nazwać
co nazwane
istnieje
choćby w mej pamięci

wielki jest mój świat
wielością słów
potężnieje
jak wieża Babel

zapominam słowa
które było
na początku

Jacek Juszczak

Wikcia, Z cyklu Saga Rodzinna [VIII]

Jej biblia codzienności:
przy piecu z pogrzebaczem wpatrzona w bury
 kłębuszek: „*Kot jest kot*”.
W oknie, po zapatrzeniu w wycinek szosy,
 gałąź orzecha:
„*Okropnie mnie mgli. Nie mogę jeździć*
 autobusem”.

Wycierając ręce z kurzego pierza: „*Całą*
 wątrobę miała w grupach;
pewnikiem suchoty. Każdy umrze”.

Po schodach (w czerni, różaniec): „*Użyłam*
 dzisiaj w kościele.
Ksiundz wysłowił listę od papieża”.

Wtedy zawsze pachniało rosółem albo
 deszczem.

Ewa prowadziła z nią naprawdę poważne
 rozmowy.

Wtedy Ewa jeszcze grywała „w barwy”.

Szymon Kantorski

z plaży

kolejno otrzepując z piasku
dziecko z zapętlonym fabrycznie
płaczliwym soliterem, rozmiękłą
paczkę papierosów, znajomych

wprost do pokoju w objęcia
ibuprofenu, alantoiny, wifi
z wódką, tuż przed kolacją
pytasz jak dziś odpoczęłam

w jakiej skali?
może Beauforta

Karol Samsel

Niemal mendel

Trzynaście tomików Wisławy Szymborskiej
(dokładnie tyle wydała) – w dłonie trzynastu
biskupów z Faras. Wszystko – niech zacznie
się od przekładu (na język nubijski) Nic dwa

razy się nie zdarza. Kyros: dyskutuje z Khae-
lem nad sensami leksemów „nic”, „zdarzyć”.
Nie rozumie wymiarów – polskiego zaimka
zwrotnego. Iesou ich przekrzykuje – cytując

współczesne afrykańskie haiku: „nic trzy ra-
zy”, przecież „nic trzy razy”. Trzynaście od-
dzielonych równo od siebie gramów prosto
do wnętrza trzynastu czyszczonych: silosów.

*

Czternaście polskich minut
mojego zakłopotania.

Krystian Manteuffel

...mamo, zawołaj

...gdybyś mnie potrzebowała, Mamo, zawołaj,
tak chciałbym usłyszeć znów Twój głos
spokojny.

Co na ziemi?
Na ziemi ludzie stali się mili dla siebie,
nikt nie umiera od powietrza, głodu, ognia
i wojny,
nikt nie pragnie cudzego, nie ma zła, nie ma
biedy,
wszyscy stali się równi, tak na ziemi jak
w niebie.

I ja nie kłamię już Mamo, nie kłamię bez
potrzeby...

Gdybyś mnie potrzebowała, Mamo, zawołaj!..

Tadeusz Zawadowski

Jutro

jutro już się zaczęło. a tak długo je
przeładałem. z półki
na półkę. z szuflady do szuflady. zawsze
mówiłem że mam jeszcze czas. to dopiero
jutro... odległe jak niemal nigdy.
a więc co stało się z dzisiaj ? boję się
otworzyć
drzwi bo po drugiej stronie może mnie już nie
być
a po tej wczoraj pachnie chłodem. siedzę
skulony w kącie
pokoju. wiem że nie pomoże zrywanie
kalendarzy
ze ścian i obgryzanie paznokci. jutro
już się zaczęło.

Stanisław Szwarc

Trzyście stron Pasji

Wierszy odnoszących się do męki Chrystusa są setki, jeśli nie tysiące. Najczęściej przybierają formę poetyckich Drog Krzyżowych, a wiersze odnoszą się bezpośrednio do wydarzeń ewangelicznych albo nawiązują do nich poprzez dzielące nas dwa tysiące lat.

Już sam tytuł zbioru trzynastu wierszy Urszuli M. Benki – „Pasja Jezusa z Nazaretu” zapowiada inną perspektywę. Podkreślenie – „z Nazaretu” z jednej strony nawiązuje do wielkiej powieści Romana Brandstaettera, z drugiej podkreśla człowieczeństwo Chrystusa, który, jak każdy z nas, jest po prostu skądś – na przykład z Wrocławia jak autorka tomiku.

Poszczególne wiersze noszą, co prawda, nadtytuły „Stacja”, jednak trudno doszukać się w nich odniesień do kolejnych stacji Via Crucis. To raczej zasygnalizowanie potrzeby postoju, przerwy na namysł, może nawet medytację. Jeszcze coś wyróżnia na pierwszy rzut oka te wiersze. Każdy z nich jest „według” – „Według tłuszczy”, „Według Magdaleny”, „Według dziecka”. To świadome nawiązanie do Ewangelii, która przecież jest tylko jedna, za to w czterech wersjach „według...”.

W wielu wierszach mamy postacie i sytuacje znane z Ewangelii, jednak nie występujące w Drodze Krzyżowej. Wyjątkiem jest wiersz „Według Weroniki”.

O co więc chodzi w tych rozważaniach? Kluczem jest słowo „według”. Każda z postaci inaczej widzi problem męki Chrystusa, śmierci jako odkupicielskiej ofiary ale także miłości, bo przecież z miłości Boga do człowieka wzięta się ta ofiara. Tym różnicom odpowiada zróżnicowana forma wierszy, świadcząca o niezwykłej inwencji autorki i swobodzie obchodzenia się z formą.

Mamy więc Stację IV „Według tłuszczy” stylizowaną na średniowieczne polskie misterium. Czemu akurat polskie? W każdej kulturze wydarzeniom o charakterze uniwersalnym nadaje się swoje rysy przemawiające do wyobraźni. Gdzie indziej Piłat nosiłby kontusz i szablę? W udratyzowanej scenie Baba relacjonuje przebieg procesu Jezusa, a postacie z tłumu komentują jej wywody, prezentując różne postawy. Dowiadujemy się o usilnych próbach Piłata, by obronić Podśadnego. Wiadomo, jak te próby się skończyły. Swoje wymowne sugestie na ten temat wtrąca co jakiś czas najwyraźniej nie należący do owego tłumu Przechodzień.

Przechodzień:

No, brzękło coś wtedy jak trzos

Baba:

Jeden wznieśliśmy głos!

Chcemy Barabasze!

Stacja V to monolog Heroda, coraz bardziej namolny wobec milczenia Chrystusa. Władca, zgodnie zresztą w przekazem ewangelicznym, nie traktuje Jezusa jak magika-cudotwórcę, dworskiego trefnisia dla zabawy. Raczej jak bożka, od którego oczekuje dowodu boskości. Nie słyszał, widać,

słów Chrystusa: „Jeśli nie ujrzyte znaków i cudów, nie uwierzycie.” Jakże blisko tej postawie do współczesnego oczekiwania, że Bóg, gdyby istniał, powinien zapobiec tak Holokaustowi jak i śmierci niemowlęcia.

Do zamyślenia prowokuje Stacja VI „Według łotra”.

Człowiek

To tylko sposób istnienia Boga

Jeśli tak, to stawiamy znak równości między bogami chrześcijaństwa, judaizmu, islamu, hinduizmu i wieloma, wieloma innymi.

Kończąca książkę „Stacja ostatnia”, jedyna, która nie może być „według”, gdyż jest wypowiedzią samego Jezusa, to prowokacyjne zaprzeczenie hasła Awangardy Krakowskiej: „Minimum słów, maksimum treści”. Rozbita na 61 apostrof litanii rozwijająca tekst z Apokalipsy: „Jam Alfa i Omega”. Tylko dlaczego w czasie przeszłym?

Byłem błękitną górą, błękitna góra,

Byłem czerwonym niebem, czerwone niebo,

Byłem błotem, błoto,

Winem, wino,

Najistotniejsze wydają się dwa ostatnie wersy

Wszystkim, wszystko

Czym Innym, Coś Inne.

Tak, Bóg zawsze jest Czymś Innym niż odpowiada nam nasza ułomna wyobraźnia.

Dziwne to wiersze, pełne paradoksów, niejasności, trudne do ogarnięcia rozumem. Dlaczego Weronika ma raz *Iniany pas*, a innym razem *bisior*? Co wśród tych wierszy robi w Stacji XII dialog Damy i Sowizdrzała pełen magii, rodem z niesamowitej baśni? Dlaczego w Stacji IX dziecko mówi:

Mamo, ja muszę zerwać tę duszę,

Tę czerwono-zieloną, co rośnie tu nad wodą.

Pomóż ciągnąć, bo ciężka, i gorąca, i bezbrzeżna

I cała pachnie piolunem, i niego rysuje piolunem.

A może po prostu nie trzeba wnikać w tę poezję rozumem, tylko chłonąć jej niezaprzeczalne piękno i dać się ponieść przeczuciom sensów?

Urszula M. Benka, „Pasja Jezusa z Nazaretu”, Wyd. Akwedukt, Wrocław 2020.

Marek Czuku

Poezja na plus

Dorota Nowak pojawiła się w literackim świecie całkiem niedawno. Przez ostatnich kilka lat zdążyła zdobyć wiele nagród w konkursach, odbyć szereg spotkań autorskich, wziąć udział w kilku ważnych festiwalach poetyckich czy zaistnieć w almanachach. Wiersze pisze jednak już od dawna, do tej pory skrywała je w najtajniejszych szufladach. Nadeszła więc najwyższa pora na samodzielne książki. Oto parę uwag na temat trzech z czterech dotychczas wydanych tomików wierszy poetki z Nowego Tomyśla.

Idea przewodnia pierwszego tomu Doroty Nowak *Na dwa* (Szczecin 2014) wiąże się z niezwykle pojemną symboliką dwójki. Dwa to pierwsza liczba parzysta, wyrażająca zasadę przeciwieństw, dwubiegunowość, dualizm. Dla otwartej na innych poetki, a jednocześnie wrażliwej i spostrzegawczej

obserwatorki bardzo ważne są relacje międzyludzkie: ja – ty (ten drugi), a w szczególności: ona i on, kreślone z empatią i pogodą ducha, delikatnie, subtelnie, czule.

Siłą rzeczy obecne są w książce uroklive erotyki, w których ukazano różne odcienie miłości („ty i ja wszystko na dwa”) od samego początku, czyli „poczęcia nieśmiertelności” po etap dojrzałego uczucia. Od momentu, gdy jemu nie wolno jej dotknąć i należy milczeć o miłości, po chwilę, gdy dla niego wyrastają truskawki i poziomki („wtedy czerwieniły maliny // brali”), a ona w ciszy i „w ukryciu przed światem” pięknieje dla ukochanego. Ale ludzkie losy bywają pokrętne i skomplikowane. Potrzeba gorących uczuć może napotkać chłód, a alkoholizm zniszczyć rodzinne szczęście. Bywa, że życie przynosi traumy, żal i gorycz, a w konsekwencji – brak miłości i pojawiające się rozterki, czy odejść, czy nadal trwać przy sobie.

Upływający czas niesie smutek i melancholię. Pojawia się ból – zarówno ten fizyczny, jak i duchowy. Wzruszające są wiersze Doroty Nowak poświęcone rodzicom („nie proszę abyś wzięła mnie / na kolana – ich kruchość okryję kocem / (...) // nie proszę abyś nosił mnie na rękach / pomogę ci włożyć koszulę”). Wobec starości, strachu, ciężkiej choroby i powolnego odchodzenia – nieustannie potrzebne są skrucha i wybaczenie. Czyli miłość właśnie, bo to ona czyni nas ludźmi.

Drugi tom Doroty Nowak *Opium* (Nowy Tomiś 2015) to poetycka opowieść o miłości, o jej różnych fazach i stanach. Opium (laudanum) symbolizuje upojenie i odurzenie prowadzące do uzależnienia. Żeński podmiot tych wierszy śni mocno zmysłowy i słodki jak miód sen o szczęściu i bliskości. Adresatem jest wyidealizowany kochanek, opiekuńczy, pełen empatii i zrozumienia, który pomoże, podniesie, przytuli, a czasem zachowa się jak zdobywca. Sceneria, w jakiej odbywają się te zmysłowe zaklęcia jest „jak w bajce” i przypomina Leśmianowską łąkę, z chabrami i makami oraz westchnieniami i sekretami. Mowa tu więc o kuszeniu, pożądaniu, czekaniu i wspólnocie uczuć, gdy „zgoda na miłość” pozwala bez oporu przekraczać granice. Słowa wierszy budzą czas radości, zabawy i wędrówki, która jest podróżą do czułych miejsc na mapie ciała. Wtedy rozum i serce są zgodne, że „można kochać”, bo to „zgoda na dobre”. I mimo obecności wewnętrznych rozterek podmiotu oraz chwil tęsknoty, niepokoju i bólu, poetka zdaje się być wyznawczynią „wierszy szczęśliwych”, które mogą uczynić cuda („zaszyć otwarte rany”, „zamknąć kropką wszystkie myśli”), a zwłaszcza „za-trzymać czas”. Wie ona bowiem, że „szczęście przychodzi w ciszy”, w milczeniu rodzą się też subtelne wiersze i marzenia, opisane przez bogaty poetycki język.

„Próbuję opowiedzieć o miłości” – pisze Dorota Nowak w wierszu *Po Wielkim Tygodniu* z trzeciego swojego tomu *Antidotum* (Poznań 2017). I rzeczywiście, tak jest od samego początku jej poetyckiej drogi. Teraz jednak dokładniej wyjaśnią swoją metodę pisarską: „obserwuję ludzkie ślady – prowadzą do ciemnych miejsc, ocierają się o granice / za którymi umiera szacunek wybaczenie / gdzie gromadzi się żal poranionych ludzi” (wiersz *Rocznica*).

Książka składa się z czterech części. W pierwszej pt. *Napiszę, jak się podnosisz* opowiedziano obrazowo wiele ludzkich historii. We wszystkich powtarzają się złe wspomnienia z dzieciństwa (samotność, lęk przed odrzuceniem, alko-

holizm i przemoc ojca), z czego wynikają problemy w życiu. W odpowiedzi na pytanie: „Czy warto żyć?” poetka pokłada ufność w siłę miłości i w to, że można się podnieść i zasypać doły dzięki wybaczeniu. To jest to antidotum, które zawsze daje spokój ducha.

W drugiej części pt. *Mała* autorka kontynuuje refleksje egzystencjalne, związane tym razem z rozstaniem z bliską osobą, która zadała ból. Wówczas emocje i myśli są zajęte przez strach, zwątpienie, poczucie winy (której nie było). Bohaterka chce zapomnieć, ale nadal tęskni. Co prawda może siłą woli sprawić, by mniej bolało, ale zranienia pozostają. I tu także mowa o tym, że najgorsze są traumy z dzieciństwa („złamane serce dziecka”), na które lekiem jest wybaczenie w wieku dojrzałym.

Część trzecią pt. *Po Wielkim Tygodniu* przepełnia wiara w miłość. Składają się na nią dobre wspomnienia z dzieciństwa, „niespodziewane szczęście na stare lata” czy piękno odkrywane w drobnych codziennych rzeczach, jak przynoszenie kwiatów, wspólna kawa czy robienie dla miłej zakupów. Gdy on od nowa ją uwodzi i gdy można wymienić *ja* na bezpieczne *my* oraz dzielić lęk na dwa. Oczywiście w życiu nie może być jedynie światło i szczęście, musi się czasem pojawić też kropla dziegciu.

W ostatniej części pt. *W pół drogi* mowa o różnych rodzajach tęsknoty. Podmiot wspomina przyjaciela, który zdradził, a potem „dzielił włos na czworo” i „rozlewał żółć”. Mimo rozstania pamięć o nim pozostała, zachowały się też smutek i tęsknota. Podmiot na nowo uczy się trudów życia, a naturalnym środowiskiem dla refleksji i spojrzenia wstecz jest malowniczo kreślony świat przyrody.

Najważniejszym bohaterem drugoplanowym tomu *Antidotum* jest kot. To jego mordka zdobi okładkę, przemyka on również przez kilka wierszy jako tajemniczy dobry duch domowego ogniska. Natomiast ulubioną formą geometryczną matematyczki Doroty Nowak jest kula, która jest bryłą doskonałą, gdyż ma najmniejszą możliwą powierzchnię. Stąd często pojawiająca się nie tylko w wierszach z najnowszego zbioru metafora kropki, która w stanie swobodnym przybiera kształt idealnej kuli.

Dorota Nowak ma kilka profesji, jedną z nich jest psychologia. Nic więc dziwnego, że jej wiersze są małymi obrazkami przedstawiającymi sytuacje egzystencjalne z życia wzięte oraz stany ducha opisywanych osób. Zaś wykształcenie ściśle daje poetce oręż w walce o logiczność i wartość wypowiedzi. Jednak to, co najważniejsze w jej poezji, to afirmacja życia i miłości oraz humanizm. Dorota Nowak jest poetką pozytywną, bo wierzy w ostateczne zwycięstwo dobra, choć ma świadomość, że droga do niego jest pokrętna i wyboista. To poezja na plus, bowiem plus znaczący więcej.

Dorota Nowak, „Na dwa”, Tom I z serii Biblioteka Poezji / Na Krechę, Fundacja Literatury im. Henryka Berezyna, Szczecin 2014.

Dorota Nowak, „Opium”, Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomiślu, Nowy Tomiś 2015.

Dorota Nowak, „Antidotum”, Tom XIV z serii Biblioteka Poezji / Na Krechę, FONT, Poznań 2017.

Brygida Mielcarek

Rejs w przyszłość

- Szybkie hodowle ludzkich organów
- leki genetyczne
- samomyślące roboty
- komputery reagujące na głos i gest
- transplanty woperowane w ciało
- turystyka wirtualna
- zmysły podłączone do robota

Czy na tym ma polegać mądrość ludzi,
jakby śrubki stanowić miały jedyny
sens życia

Andrzej Dębkowski

Sugestie

po rdzawych schodach
pod drżącymi stopami
spływają potoki łez
wydostają się na ulice
i toną za kratami kanalizacji
nie rozkładają się na kwitnących trawnikach
nie rosą uschniętych traw
szukają kamiennego bruku
i odchodzą
pogrążając się w cierpieniach

Krzysztof Galas

Nienapisany wiersz

Epoka w której pojawiłem się przypadkiem
zaciska kajdanki przymusu
na bezbronnych nadgarstkach
zgiełk rodzi się od nowa

Nienapisany wiersz pobudza do płaczu
Wyciągam przed siebie ręce
pierwsze krople deszczu
gaszą namiastkę porannego słońca

Nie udaję nikogo innego
lepszego niż jestem
z perspektywy lat
wszystko wydaje się niedoskonałe
Coraz dalej mam do nieba
do świętości

Małgorzata Szczęsna

Pryzmat

Mam dość kolorowego...

chcę na czarno biało
z akcentem
czerwonego
może jeszcze...
być zielono
na tej
piaszczystej
łące

Słońce
nie oszczędza
na tysiąc słońc
rozszczerzone
oślepia
i tak już ślepych
w biegu
po szczęście

Rozszczepiona
rzeczywistość
udźwignąć
się nie daje
Sytość
nie nasyci
wyścig po
jeszcze kolorowiej
powieli
z rozszczerzonego
szczęścia
nieszczęście

Chcę na białe czarno
z akcentem
czerwonego
jeszcze...
może być zielono
na porażonej
rozszczerzeniem

PLANECIE

Celina Lesiewicz

Tak

Więcej światła
bo czuję się zamknięta
w pestce wiśni
Więcej piękna
czystości przekazu
bez ograniczenia wstępem
Więcej Ciebie
choć kilka kroków
po wodzie suchą stopą

Aleksandra Pawlisz-Jabłońska

O poranku

Nic nie mów
nie mów nic

twoje oczy
powiedziały wszystko

kolorowy wzrok
bezdźwięczne ruchy warg
pobudziły zmysły

rankiem usłyszałam
szczebiot wróbli.

Alicja Kubiak

Chłopiec w parku

Bawią się w berka i chowanego. Rozbawiona gromadka dzieci biegających i śmiejących się. Jakby kolorowe szklane kulki rozsypały się na podłodze, tak oni rumiani, poczochrani, umorusani. Nieopodal starszy pan siedzi na ławce, wsparty o łaskę. Poprawia kaszkiet i uśmiecha się do własnych myśli. To był czas wojny, bez zabaw i śmiechów. Karmi oczy tym, czego nie dane mu było zaznać. Powoli podnosi dłoń i ściera niewidzialną wśród zmarszczek łzę. Unosi co chwilę ciało, jakby chciał pobiec za bezpowrotnie utraconym dzieciństwem.

Nikt nie zauważył chłopca, który przygląda się z boku obu światom, dla niego niedostępnym. Kim on jest?

Poznasz ją przed świtem

Było jeszcze ciemno, kiedy się obudziłam. Ona już stała przy oknie. Blednący księżyc oświeślał jej wychudzoną postać z zakrytą kapturem twarzą. Czekala na mnie w mroku. Podeszłam do niej, ufnie podając dłoń. Chwyciła ją z ociąganiem, jednak pewnie zaciśnęła palce. Trochę się obawiałam, ale uparcie postanowiłam nie cofać decyzji. Pokazała mi piękno i brzydotę, odwagę i strach, kolory ziemi i czerń podziemia. Poczułam nurt rzeki w sobie, jakby ktoś we mnie wlał rwący, lodowaty strumień. Byłam słońcem, księżycem, deszczem i wiatrem.

Kiedy spojrzałam w jej twarz, ujrzałam lęk, potem bezbrzeżną litość. Z miłością zamknęłam moje oczy pełne zdziwienia, jak zawsze.

Sławomir Krzyśka

Puste ulice
bezgłośne domy
głos szuka głosu
wzrok wzroku

Chciałbyś jak wcześniej
niczym biegacz
na wdechu
dogonić zapach słów

Lecz zapomniałeś
wspinasz się przemycasz
ty niemy aktor
wśród ciszy

Zamarłeś na widok
chwil których nie było
wydzierasz mowę
ze zgiełku milczących ust



Ekaterina Polianskaja

Dwa warianty

Ach, długi oddać i żyć spokojnie.
I mocną kawę pić na śniadanie.
Gazet nie czytać, tam wciąż o wojnie,
ceny, reformy, głupie gadanie.

Czytać powieści, opowiadania,
takie sprzed laty minimum stu.
Do fortepianu staruszka siadać
i poloneza odgrywać z nut.

Na hemoroidy nieco pocierpieć,
widząc w tym korzyść czysto duchową,
a gdy właściwy nastrój nadejdzie -
w strofki po cichu zamieniać słowa.

Nie, nic nie pisać. Puszkina niech pisze.
Zresztą – napisał... Ach, co to tam mnie...
To niechaj innym świr w głowach gwizdże
od tych dyskusji o duszy dnie.

I nic nie czytać. I grać na nerwach,
ma się rozumieć – tylko na cudzych.
Taki, po pierwsze, to miły rejwach,
no i bezpieczniej, to tak po drugie.

I w gry strzelanki wciąż grać jak leci -
ot, tak do piwa, tak po robocie.
Długów nie zwracać, z bliźnim Bóg przecież
kazał się dzielić, więc po kłopotcie.

Ekaterina Polianskaja - urodziła się w 1967 r. w Leningradzie, z zawodu lekarz medycyny. Poetka, tłumaczka z polskiego i serbskiego. Od r. 2002 członek Związku Pisarzy Rosji. Autorka siedmiu zbiorów wierszy, laureatka licznych konkursów i nagród literackich.

W swojej twórczości E. Polianska korzysta na ogół z formy wiersza klasycznego, rozbudowanego, rytmicznie pulsującego melodyką rosyjskiego języka - nie stroni jednak od wiersza wolnego, czy nawet od skondensowanej formy haiku.

Wiersze E. Polianskiej nie są prostą poezją uniesień emocjonalnych, niesposób doszukać się wśród jej wierszy typowej liryki miłosnej czy erotyków - poezja E. Polianskiej to głęboko humanistyczna refleksja nad życiem, nad jego różnorodnością i jego pięknem i nad człowieczeństwem, z jego dobrymi, ale i z jego mniej dobrymi stronami. Ta refleksja jest afirmatywna - jest jak pochylenie głowy mądrego człowieka, który cieszy się tym, co jest i potrafi w prostocie rzeczywistości znaleźć piękno i wielkość.

Przekład wierszy z rosyjskiego -
Michał Bukowski.

* * *

Wystzegam się
leniwych koni,
sentymentalnych mężczyzn
i kobiet chłopopodobnych.
Te pierwsze są nieprzewidywalne,
ci drudzy
skłonni do okrucieństwa,
a w tych trzecich pełno
tłącej się babskiej wredoty.
Całe życie
wystzegam się ich
i staram się trzymać jak najdalej.
Ale
te pierwsze mają takie potulne spojrzenie,
ci drudzy
są tak złotouści,
a tych trzecich
patologicznie żal.
Nawiasem mówiąc,
jeśli bym miała spojrzeć w głąb siebie samej,
jeśli bym miała być naprawdę uczciwą -
to przecież i we mnie jest
coś tam z tych pierwszych,
nieco z tych drugich
i trochę z tych trzecich

* * *

Rozprawiali:
chytrus - o uczciwości,
tchórz - o męstwie,
beztalencie - o natchnieniu.
A beznamiętny tak mówił o miłości,
że aż serce mocniej bić zaczynało.

Nawoływali:
szczęściarz - do cierpienia,
okrutnik - do miłosierdzia,
do szczodrości - chciwiec.
Zaś wałkoń tak sławił pracę,
że aż się do niej wprost rwały ręce.

Zarzucali:
łgarz - brak zaufania,
ciekawski - powściągliwość,
egoista - niechęć do niesienia ofiar.
A bezbożnik - ach, ten wręcz powalał
cytatami z Pisma.

I tak oto ja, postarzała,
posiwiła w beznadziejnej walce z entropią,
zmęczona powszednią sansarą,
przypomniałam sobie nagle, że w
podręczniku -
zwykłym podręczniku
chirurgii
poła walki -
powiedziane jest jasno:
„spiesz nie do tego, kto krzyczy -
ale do tego, który milczy”.

Anna Elżbieta Zalewska

Wiosna

wiosna zapukała w moje okna
w świergocie wróbli
tarczą słońca
już bez wypuścić paki
zajaśniały mleczce na polanie
gruchają gołębie
na parapecie uczuć
wiatr układa melodie
drzewom

Wspomnienia

dzieciństwo
zamknięte w ramach
szkolne lata
woalką mgły
osnute
minęły dni
beztroskich zabaw
otwarte podwórko
znajomy smak jabłek
kadry bajkowego filmu
w porach roku

mężowi

Schowałam się
w kieszeni twojej
koszuli
będę odkrywać
uroki miasta
ukryte pod powieką dnia



Tadeusz Karabowicz

PROTOKÓŁ
kulturowy
Nr 74/2020

Dalekie światła w Arkadii nad Czarną Hań- czą

Jaskrawe słońce 9 kwietnia 2020 o poranku uświadomiło mi, że nie ma już Andrzeja Strumiłły (1927-2020). Profesor Andrzej Strumiłły zmarł o piątej nad ranem w szpitalu w Suwałkach, a esemesową wiadomość o tym przesyłała do mnie poetka Janina Osewska z Augustowa.

„Jak smutno” - napisała do mnie Janina Osewska o godzinie 7.30, 9 kwietnia 2020 roku, a ja odpowiedziałem jej również esemesowo: „Janino, jak smutno!” Istotnie, to dziwne i niepojęte słowo - smutek najwierniej oddaje stan serca w czasach strasznej i niezrozumiałej pandemii koronawirusa COVID 19.

Jak to, nie ma już pana Andrzeja, nie ma pana Profesora? Czemu tak szybko, przecież planowałem jeszcze, jak tylko minie pandemia, pojechać do niego. Umawiałem się na tę wizytę jeszcze tak niedawno. Miałem tam pojechać z Janiną Osewską, którą Profesor tak bardzo lubił. A jednocześnie śmierć Andrzeja Strumiłły uświadomiła, że przecież miał on 93 lata, a to oznacza w księdze życia bardzo dużo.

Odchodzą do lamusa powierzchowne porównania do „człowieka renesansu” lub do „kresowego Prometeusza”, „pielgrzyma z okiem otwartym”, czy przez fotografa Wiktora Wołkova „ostatniego mamuta epoki”. Natomiast wyraźnie świeci się jasnym blaskiem jego uniwersalne dzieło malarskie i poetyckie. Ażyl sztuki, rozpostarty w zakolu Czarnej Hańczy, nie jest już szczęśliwą wyspą – bo nie ma jego twórcy. A miejsce to, nazwane przez niego Arkadią, sakralizuje się w sankryckiej mandali. Potężne dzieło Profesora odbija się w magicznej niebieskiej wodzie odwiecznej rzeki płynącej do Niemna. Przestrzeń życia zostaje zamknięta, a zaczyna rozpościerać się kategoria czasu, którą nazywamy wiecznością.

Potężne głazy na podwórzu, szuwały nad Czarną Hańczą, mandale z Maćkowej Rudy są już w innym wymiarze filozoficznym. Nie ma bowiem ich twórcy, nie ma Andrzeja Strumiłły malarza, rzeźbiarza, fotografa, autora wspaniałych ilustracji książkowych. Nie ma już erudyty z namaszczeniem wymawiającego kresowe „i” oraz animatora wielu cennych przedsięwzięć kulturalnych.

Piszę o tym, bowiem było mi dane przez wiele lat przebywać z wizytami w Maćkowej Rudzie, pisać do niego listy, otrzymywać listy od niego. Często telefonowałem, by z nim porozmawiać. Byłem obdarzony czymś bardzo cennym w naszym zaganianym życiu - darem słuchania jego opowieści, przeżywania jego wierszy oraz oglądania malarstwa. To była przestrzeń magiczna, ważna i nawet konieczna dla mnie. Odbывало się bowiem twórcze porozumienie się poprzez sztukę. Profesora odwiedzało wielu wybitnych twórców. Tutaj, w jego pracowni, wypełnionej metafizyką jego dzieła, odbywały się abstrakcyjne i bardzo konkretne rozmowy. Tutaj odbywały się weryfikacje poglądów, rewizje koncepcji sztuki oraz korekta zmian myślenia. Przypomina mi się zdarzenie związane z prezydentem przywiezionym Andrzejowi Strumił

w 2006 roku. To był tomik "Wierszy ostatnich" Czesława Miłosza. Był w nim wiersz nawiązujący do wizyty noblisty w Maćkowej Rudzie. Andrzej Strumiłło nie miał jeszcze tego tomiku, przyjął prezent, podziękował i opowiedział historię przyjazdu Czesława Miłosza z synem Tonim do Maćkowej Rudy. Toni zachwycił się siedliskiem i od razu chciał kupować ziemię w pobliżu, by budować dom, ale Czesław Miłosz był kategorycznie przeciwny. Uważał bowiem, że takie magiczne miejsca mogą być także ciężarem, a zwłaszcza dla Toniego, będącego obywatelem świata, a tym bardziej dla Czesława Miłosza wydziedziczzonego z ziemi rodzinnej i dzieciństwa. Po upływie jakiegoś czasu Andrzej Strumiłło wykonał kilka pięknych ilustracji do tomiku "Wierszy ostatnich" Czesława Miłosza.

Andrzej Strumiłło był świetnym fotografikiem. Gdy ukazał się jego album o Nowym Jorku o tytule "Manhattan" (2017), to pierwsze skojarzenie jakie miałem przy oglądaniu tego wspaniałego dzieła było takie, że wszystko w albumie ma ponadczasowe piętno. Powiedziałem o tym Strumiłło, a on odpowiedział, że mimo iż robił te zdjęcia 40 lat temu, Nowy Jork pozostaje ciągle taki do bólu nowoczesny i ponadczasowy.

W rozmowach o percepcji sztuki, o słowie poetyckim, czy o miejscu wybranym przez niego, zawsze przewijał się wątek przemijania. Profesor nie był agnostykiem, chociaż był świadomy przemijania życia i nie bał się o tym mówić. Gdy wybrał to miejsce w Maćkowej Rudzie do zamieszkania, odnalazł tutaj ślady dawnego życia i od razu nadał im ekspansję retrospektywną. Odtworzył na rozległym podwórzu od strony rzeki, historyczny krąg kamienny, mistyfikując go. Swoją siedzibę zrekonstruował jako drewniany dworek o cechach szlacheckich. Całemu obejściu, nie wyłączając wiekowych drzew i wysokiego brzegu Czarnej Hańcy, nadał formę zaścianku. Uwypuklił także rodzinne historie, poświęcając wiele miejsca w tej przestrzeni filozoficznej swojemu miejscu urodzenia, swoim rodzicom, a zwłaszcza matce. Dużo miejsca poświęcił najbliższej rodzinie oraz podróżom. Na ważnym miejscu w pokoju, z prawej strony od kuchni wisiał obraz Juliusza Kossaka ukazujący praprawnuczkę klaczy Mlechy. W Maćkowej Rudzie Andrzej Strumiłło zrealizował marzenie swojego życia, założył stajnię pięknych koni arabskich. Kontaktował się często ze stadniną koni w Janowie Podlaskim i bywał gościem tamtejszych międzynarodowych aukcji koni. Pamiętam jak z namaszczeniem oglądaliśmy ten obraz Juliusza Kossaka.

W kolekcji Profesora były stare ikony rosyjskie podarowane mu przez pracowniczkę Galerii Tretiakowskiej w Moskwie. Wisiały one w saloniku rzędem nad biedermeierowską szafką z biurkiem, upiękkszane skarbami przywiezionymi z Nepalu i palmami wielkanocnymi z Wilna. Tutaj stał ulubiony fotel Profesora, na którym siedział Czesław Miłosz. Tutaj także, w tym pokoju, zdarzyła się niecodzienna muzyczna historia. Wydarzyła się ona w lipcu, podczas mojego pobytu u Profesora z poetką Janiną Osewską. Siedzieliśmy pijąc czerwone wino i rozmawiając o sztuce, gdy raptem do drzwi zastukał nieoczekiwany gość. Okazał się nim znajomy Andrzej Strumiłło, pracownik Muzeum Azji i Pacyfiku z Warszawy. Przyjechał, by pochwalić się nowym eksponatem do muzeum, azjatyckim instrumentem muzycznym z muszli. Wyciągnął muszlę z plecaka, rozwinął z tkaniny zabezpiecza-

jącej i zagrał na powitanie. Wówczas Profesor wstał powoli, ale majestatycznie z krzesła, podszedł do oszklonej biedermeierowskiej witryny, sięgnął ręką do zwieńczenia i wyciągnął kluczyk. Otworzył drzwi szafy i wśród bibelotów odnalazł taką samą muszlę, tylko znacznie większą. Zagrał taką samą melodię, jednak zdecydowanie dłużej i bardziej uroczyście. Został za to nagrodzony gorącymi brawami. Profesor w zielonej sztruksowej marynarce grający na azjatyckim instrumencie muzycznym z muszli...

Gdy jesienią przyjechałem do Maćkowej Rudy z Janiną Osewską, naszej wizycie towarzyszyło twórcze skupienie. Byliśmy u Profesora kilka godzin i rozmawialiśmy o przeszłości i sztuce. Chwalił się swoimi końmi i przytulał się do ich pysków. Janina oczywiście fotografowała każdy szczegół. Chodziliśmy także na brzeg rzeki i fotografowaliśmy się w łódce, w której siedział Czesław Miłosz, gdy odwiedził Maćkową Rudę. Andrzej Strumiłło chyba świadomie zwrócił naszą uwagę na imponujące kamienne ogrodzenie wokół swojej posesji, następnie na wozownię i spichlerzyk w stylu XIX wieku (świronek). Wszystko to wybudował sam. Wyraźnie chwalił się rzadkimi okazami drzew iglastych. Przywiózł je do Maćkowej Rudy ze swoich podróży po świecie. W rozwidleniach niektórych konarów były umieszczone kamienie otoczaki. Jak żartował Profesor, to były meteoryty, które przyleciały z przestrzeni nadprzyrodzonej – z kosmosu. Wierzyliśmy z Janiną Osewską w ten geometryczny porządek wypełniający przestrzeń idylliczną jego Maćkowej Rudy.

Przy jednej z wizyt jesiennych z Janiną Osewską, bardzo chłodnej już październikowej soboty, zastaliśmy Andrzeja Strumiłłę przy altance, gdzie zrywał winogrona. A potem, siedząc w kuchni i pijąc herbatę, zostaliśmy nieoczekiwanie obdarowani. Janina dostała grafikę przedstawiającą schody wykonaną do wiersza pt. "Marzenie" Leo Belmonta. Ja otrzymałem ilustrację do wiersza Petrosa Durjana (1851–1872), "Moja śmierć" z antologii wierszy poetów armeńskich. Andrzej Strumiłło powiedział, że praca ta wykonana została na szarym papierze, przywiezionym z podróży do Wietnamu. Profesora zachwyciła struktura włókien tego wietnamskiego papieru, stąd postanowił wykonać na nim ilustracje do wspomnianej antologii. Wówczas także snuł opowieści ze swoich podróży, opowiadał, że zwiedził wiele egzotycznych krajów. Widział wojnę w Wietnamie, przeszedł z plecakiem i bronią tysiąc kilometrów syberyjskiej tajgi. Poznał Tajlandię, Chiny, Japonię, Mongolię, Indie, Nepal. Przemierzył Himalaje, Altaj, Kraj Chabarowski, Kaukaz, pustynię Gobi. Obok rysunków, grafik i fotografii powstawały wtedy także wiersze, utrwalające momenty olśnień, przemyśleń inspirowanych przez myśl Wschodu, tradycje taoistyczne i buddyjskie. Owocem tych podróży był jego niesamowity album pt. "Nepal" (1987).

Zatarły się szczegóły moich wizyt w Maćkowej Rudzie, ale ostatni pobyt we wrześniu 2018 roku pamiętam jako jaskrawe połączenie rozmów o sztuce i podziwiania jego najnowszych obrazów. Wszędzie panowały mandale. W kamiennej pracowni stały obrazy olejne z mandalami. Były oparte jeden o drugi, całym szeregiem wzdłuż białej ściany. Obrazy wzbudzały mój podziw, że tak sędziwy człowiek, znajduje siły, by tworzyć tak natchnione dzieła. Natomiast w pracowni podziwialiśmy z Janiną Osewską czarno-białe mandale piórkiem i czarnym tuszem. Były wykonane na dużych formatach czerpanego papieru ecru.

Andrzej Strumiłło

* * *

Daleko pozostały
Smak wołu z rożna
I wina żłopanego z beczki
Szerokość gestu się oddaliła
I ziemia niczyja

Wieczorem strzepując
Pyłek z kłapy marynarki
Tęsknimy



Andrzej Babiński – legenda i fakty

Dokończenie ze str. 9

Jak się okazuje, jest to niezbyt znany wątek życia poety, mający jednak niebagatelne znaczenie dla dalszego rozwoju jego twórczości. Jak wspomina Jerzy Szatkowski w cytowanym już dokumencie, *miłość Andrzeja do Krysi wyzwoliła w nim prawdziwą erupcję twórczą. Za sprawą miłości powstały najlepsze wiersze Andrzeja*¹⁸. Sama Orłowa po latach wraca do tego spotkania w listach do Jerzego Szatkowskiego, publikowanych w „Okolicy Poetów”:

Od tej pory przychodził niemal codziennie. Gdy wyjeżdżał, pisywał listy lub telefonował godzinami, odcytując kolejne wersje wierszy lub poetyckiej prozy.

Andrzej wyczuł bezbłędnie, że znalazł we mnie życzliwość, czułą uwagę, zrozumienie. A na

¹⁸ J. Szatkowski, „Andrzej Babiński: OSTATNIO POZNAŁEM NIEJAKIEGO STACHURĘ”, „Okolica Poetów” nr 3/1999, s. 27.

Bystrzyckiej otwarty dom.
Zaufał i rozkwitł w tym klimacie¹⁹.

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 74/2020

Przyznać trzeba, iż Babiński wybrał jako miłość życia osobę obdarzoną sporą dozą przenikliwości i wrażliwości, która od pierwszych chwil rozpoznała jego samotność, rozdarcie i cierpienie:

Z nas wszystkich Andrzej najbardziej doświadczony i najgłębiej samotny (...). Tragiczne przeżycia: ciężąca na skłóconej rodzinie choroba, brak miłości i być może zarejestrowane w dzieciństwie wspomnienia wojny, z pewnością odczucie jej grozy i odmowa uczestnictwa: przekraczanie granic. Cierpienie wyrażające się w linii ust a nawet w sposobie poruszania się: Andrzej „nie mieścił się w sobie”²⁰.

Dodać możemy, że znajomość osobowości i wrażliwości Babińskiego w tym przypadku wiązała się z celną i nade wszystko wnikliwą lekturą jego poezji – Krystyna Orłowa często wspomina o motywie bezdomności jako naczelnym motywie jego twórczości oraz o tym, że często pisał swoje utwory z perspektywy jakby spoza czasu i spoza planety, a także o przestrzenności w jego poezji. Wydawać się zatem może, że jako jedna z nielicznych czytała jego wiersze z takim zaangażowaniem, na jakie zasługują. Do wątku Krystyny Orłowej będziemy jeszcze niejednokrotnie wracać w kolejnych rozdziałach tej rozprawy podczas omawiania poszczególnych motywów poezji Babińskiego oraz poszczególnych utworów.

Bogna Wiczyńska

Tekst powyższy jest kontynuacją pracy Bogny Wiczyńskiej „W poszukiwaniu autentyczności bycia. Podmiot w poetyckiej twórczości Andrzeja Babińskiego” zamieszczonej w poprzednich numerach „Protokołu Kulturalnego”.

Jest to praca magisterska napisana pod kierunkiem prof. dra hab. Michała Januszkiewicza. Poznań 2017. UAM, Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej.

Kamila Kampa

* * *

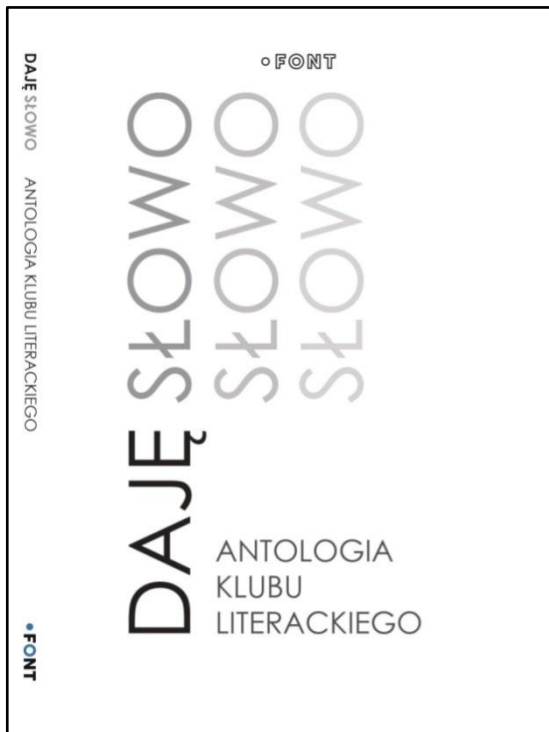
przez liście klonu
przenika promień słońca
robi się jaśniej

* * *

głośne rozmowy
wiatr rozplata mi włosy
cisza odchodzi

¹⁹ K. Orłowa, „Okolica Poetów” 24/66, s. 46.

²⁰ K. Orłowa, (...) *Sama coś pisałam o Andrzeju, ale nie skończyłam. (...) OKRUCHY SNU, STRZĘPY PAMIĘCI*, „Okolica Poetów”, nr 23/2003, s. 36.



Z Hegen short forms

* * *

Artysta „światowy”, kierując się wyłącznie własnym przekonaniem, stwarza świat na nowo. Artysta powiatowy, schlebując powszechnym gustom, mniej lub bardziej udanie kopiuje to, co widzi.

* * *

Bądź sobą...
Co to znaczy? Rozwijaj to, co tkwi w tobie głęboko. Uzewewnętrzniaj własne przeświadczenia i wyobrażenia. Usilnie nad tym pracuj, a stworzysz swój własny, osobny świat.

PROTOKÓŁ
kulturalny

Wydawca – Klub Literacki „Dąbrówka” – Piątkowskie Centrum Kultury
Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej,
os. Bolesława Chrobrego 120, 60-681 Poznań
Redaguje Jerzy Grupiński
tel. 61 833 04 83

e-mail jerzygrupinski@gmail.com

jsszwarcowie@wp.pl

korekta - Jolanta Szwarc

przygotowanie do druku - Stanisław Szwarc
Druk – EuroPrint, Poznań, Pamiatkowa 19.

„Protokół” dostępny także na Facebooku oraz stronie
<http://www.poecipolscy.pl/proza/protokol-kulturalny/>
(także numery archiwalne)

Redakcja zastrzega sobie możliwość skracania nadesłanych materiałów oraz ew. zmian tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Daję Słowo

Na 50-lecie poznańskiego Klubu Literackiego, dzięki wsparciu Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, ukazała się pod powyższym tytułem antologia naszego środowiska w Bibliotece FONT, pod patronatem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Pięknie wydana książka zawiera biogramy, zdjęcia i teksty 46 twórców, w tym i utwory Mateusza Rossy, studenta, laureata „Turnieju o pierścień Dąbrówki”. Większość prezentowanych pisarzy, to pióra od lat związane z Klubem Literackim. Dzięki zamieszczonym historycznym zdjęciom i tekstom, zapoznajemy się także z wieloletnimi dziejami środowiska. Założyciel Klubu Jerzy Grupiński, na okładce antologii pisze:

„Tak niedawno byliśmy młodymi poetami... Tymczasem w bieżącym 2020 roku mija 50 lat od dnia, w którym grupa młodych pisarzy, z inicjatywy niżej podpisanego założyła w poznańskim Zamku Klub Literacki. Wydaliśmy w tym półwieczu niepoli-
czalną liczbę almanachów, programów, arkuszy, ulotek poetyckich, pracując w Pałacu Kultury, potem w Centrum Kultury Zamek, wreszcie (i dziś) w Centrum Kultury „Dąbrówka” PSM. Konkurs o Laur Klemensa Janickiego (kontynuowany w Zamku), Ogólnopolskie Mityngi Poetów i Krytyków, wychodzący ciągle przez 22 lata kwartalnik „Protokół Kulturalny”... W Klubie debiutowali spotkaniami autorskimi i publikacjami liczni, dziś znaczący twórcy, pisarze, profesorowie na katedrach. Nawijając do poprzedniej klubowej antologii (Na końcu świata albo języka, Poznań 2011), powtórzmy, że książka ta chce być tak wydarzeniem twórczym, jak i towarzyskim, dokumentującym drogi pióra, pasje i zainteresowania autorów. Stąd i rozmaitość form wypowiedzi: liryka, proza, esej, felieton. Obok osób wstępujących na wąską ścieżkę literatury, czytamy tu autorów, których twórczość sprawdziły liczne publikacje i opinie krytyków. A więc wciąż się przejeżdżając...”

Nie brak w jubileuszowej księdze anegdot, niezwykłych scen z klubowych imprez, bo to „historia o przechwałnym jubileuszu 50-lecia Klubu Literackiego w wierszach, prozach, anegdotach i panegirach dosyć zwięźle wyłożona za lata Pańskie i ludzkie 1970-2020 a w niej zawierające się dziwotwory poetów, popisy artystów, wspominkarzy, natchnionych poetek, pisarzy i w piśmie uczonych zadziwiający przypadki przez sługi muz łucję Dudzińską i Jerzego Grupińskiego in folio pilnie zebrane”.

W numerze wykorzystano zdjęcia z archiwum Jerzego Grupińskiego pochodzące z lat 1970 – 1974.

s.1 – Bolesław Kuźniak, Andrzej Czerep, Henryk Smuszek (Spółdzielnia Poetycka „S(k)urcz”, nieobecny księgowy Fluks),
s. 3 – Jerzy Grupiński i Wincenty Różański,
s. 4 – Marek Obarski,
s. 6 – u góry Edward Stachura, u dołu Ryszard Milczewski-Bruno,
s. 15 – Stanisław Barańczak,
s. 17 – Ryszard Krynicki,
s. 19 – prof. Andrzej Strumiłło, Janina Osewska, Tadej Karabowicz (2020).